Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII. Niedziela, dnia 19 lutego 1939 r. Nr. 8



Fot. Bronisława Urbanowa — Tarnów. Zdjęcie nagrodzone na konkursie krajoznawczym „Mojej Przyj."

STARY HUCUŁ

WITOLD ZECHENTER (8

Avaxara

POWIEŚĆ

Kwestie fizyczne chyba! Tak, pod tym względem mają wszyscy jedną rzecz wspólną: są to sobie starsi panowie!

— Tak mruczał detektyw z goryczą — oto, co mi pozostało niezbite po tylu godzinach badań, podejrzeń, poszukiwań, rozmyślań... To to, że czterej porwani są starzy! Ach — prawie jęknął — to to, że jedyną ich wspólną cechą jest, że wszyscy mają uderzające łysiny!

Przełknął gorycz.

Do takich wniosków dochodzi się w blisko 24 godziny po pierwszem porwaniu! I kto dochodzi do takich wniosków? Robert-Robert! pierwszy dotychczas detektyw Paryża!

ROZDZIAŁ 16

A. V. = ALFRED VERY

Są ludzie, których niepowodzenia osłabiają. Są, których umacniają. Robert-Robert należał do tej drugiej kategorii ludzi. Po chwilowej depresji, jaka ogarnęła go po rozmowie z reporterem „Paris-Midi", gdy doszedł do przekonania, że nic nie wie, poczuł w sobie nowe siły, nacechowane zawziętością i nienawiścią do tych bezczelnie śmiałych i pomysłowych ludzi, którzy swymi czterema uprowadzeniami wywołali sensację, jakiej Paryż dawno nie przeżywał.

Dnia tego po południu i wieczorem, oraz przez całą noc detektyw poświęcał swój sen, spoczynek i spokojne posiłki na ołtarzu swej ambicji.

— Muszę — pomyślał sobie.

Gdy uchwyci choćby mały ślad — wiedział, że reszta pójdzie, jak przy poprzednich sprawach, które rozwiązywał szybko i pewnie, zyskując sobie powszechne uznanie i nazwisku swemu sławę, która wnet powinna była wyjść poza granice Francji.

Był więc wszędzie. Był raz jeszcze u posła de Ronet, otoczonego przez kolegów klubowych, u kelnera, który w dniu tym zrobił majątek na napiwkach, u przemysłowca debatującego z panem Thouvelle. Był na inspekcji w quartier Gare St. Lazare, gdzie poczynione kroki nie dały zresztą żadnego rezultatu. Odbierał z całego miasta zawiadomienia o śledztwie poczynionym w garażach i o ulicznych legitymowaniach się Bogu ducha winnych Biuckòw.

Układał sobie niemożliwe kombinacje imion i nazwisk o inicjałach A. V. ufając, że w ten sposób przypomni sobie jakiegoś A. V. zapisanego już w kronikach policyjnych. Badał je, przeglądał archiwa ostatnich miesięcy!

— Gdyby zidentyfikować tego A. V.

Koło jedenastej w nocy poszedł do oddziału meldunkowego i tam wyszukał szufladę „V", szczelnie zapełnioną kartotekami.

Przeglądał te dziesiątki nazwisk, ale kombinacje A. V. należały do osób, których nie można było podejrzewać.

Napotkał wreszcie nazwisko Vernon — skąd je zna? — acha! ten poseł prawicowy — Jan Vernon... Potem był jakiś szewc Vertillon — imię Alfons — A. V. — urodzony w roku 1861 — za stary trochę!

Potem nazwisko Véry — jest znów A. V. — jakiś Alfred Véry — urodzony w roku 1901 — rysopis: brunet, twarz pociągła, włosy czarne, oczy czarne.

— Ten — by mógł być — ale — mój Boże! jakże można czepiać się tak bez powodu!

Urzędnik „Banque de Paris et des Pays-Bas".

Można by wyszukać jego fotografię w indeksie wojskowym...

Detektyw przeglądnął do końca szufladę „V". Jeden Alfred Véry, którego wiek i rysopis odpowiadał owemu młodzianowi.

— Co mam lepszego do roboty? Mogę potropić trochę pana Véry — w papierach!

Szedł po pustych korytarzach za stróżem, który otworzył mu indeks wojskowy. Wyszukał Alfreda Véry — i...

I uśmiechnęła się do niego z fotografii twarz, którą zobaczył w aucie przed „Caué de la Sorbonne"...

— To on!

Detektyw nie wiedział komu dziękować za ten pomysł szukania jakiegoś pierwszego lepszego obywatela, którego całą winą było, że jego nazwisko zaczynało się na V, a imię na A.

Ale wiedział: — przemówiła jego intuicja!



Niemiec Lantschner, zdobył pierwsze miejsce w biegu zjazdowym na F. I. S.

Zapamiętał sobie adres łotra — bo teraz już nie miał wątpliwości: 7, rue Malebranche, Hotel Senlis.

Uniesiony radością zbiegł do swego biura.

— Do rana będę już wiedział wszystko.

Przeszukał w księdze telefonów. Hôtel Senli nie miał telefonu. Wyszukał więc numer „Banque de Paris et des Pays-Bas". Była dwunasta, ale przypuszczał, że w banku musi być jakiś stróż, czy urzędnik dyżurny.

— Halo? — spytał głos.

— Tu mówi policja — rzekł detektyw. — Z kim mówię?

— Tu odźwierny banku, Turpillon.

— Czy może mnie pan poinformować, czy pracuje w banku niejaki pan Alfred Véry?

— Pan Véry?

— Tak.

— Pracował do końca sierpnia.

— Potem?

— Odszedł.

— Zapewne nie wie pan, dlaczego?

— Owszem. Pan Véry był zawsze rozmowny i tak samo dziś, gdy nagle po tylu tygodniach przyszedł do dyrektora Devadatte —

— Dziś?

— Tak.

— O godzinie?

— O dwunastej w południe.

— Przyjechał autem?

— Nie.

— Więc dlaczego odszedł?

— Powiedział mi, że na własne żądanie — na lepszą posadę.

— Gdzie mieszka?

— Mieszka gdzieś koło Panteonu — w hotelu —

— Senlis?

— Tak. Ale nie wiem, czy jeszcze tam mieszka.

— Jaki jest adres dyrektora Devadatte?

— 79, rue de la Pompe.

— Telefon?

— Passy 47-72.

— Dziękuję.

Powiesił słuchawkę i zdjął ją zaraz.

— Passy 47-72.

— Łączę.

Czekał długo.

— Nie odpowiada — rzekła wreszcie telefonistka.



Niemka Christl Cranz zdobyła pierwsze miejsce w biegu zjazdowym dla pań na mistrzostwach F. I. S. w Zakopanem.

Detektyw podał zaraz numer telefonu dyrektora Lafettal.

— Łączę.

Słuchawkę zdjęto zaraz.

— Dyrektor Lafettal?

— Robert-Robert?

— Wiem, kto jest A. V.

— Czy tak, jak pan wiedział o reporterze?

— Nie. W tym wypadku na pewno. Śledzę go. Zawiadomię.

Powiesił słuchawkę, nie czekając na odpowiedź dyrektora i w chwilę potem pędził już bulwarem łacińskim na rue Malebranche.

— Nie, pan Véry nie mieszka tu od września.

— Gdzie mieszka?

— Nie wiem. Zdaje mi się, że nie ma go w Paryżu.

— Na jakiej podstawie tak się pani zdaje?

— Z końcem sierpnia wyjechał na Riwierę.

— Gdzie?

— Mówił, że do Nicei.

— Wyjeżdżał już przedtem?

— Spędził tam urlop w lipcu.

— A potem?

— Potem wrócił za parę dni —

— Tak prędko? I —

— I zabrał wszystkie swoje rzeczy. Nie powiedział gdzie się przeprowadza. Był jakiś dziwnie zdenerwowany i roztargniony.

— Dziękuję. To wszystko co mi pani może powiedzieć?

— Tak.

Wrócił na policję i telefonował znów do dyrektora Devadatte, ale znów nie otrzymał odpowiedzi.

Telefonował jeszcze dwa razy w ciągu nocy, również bez skutku.

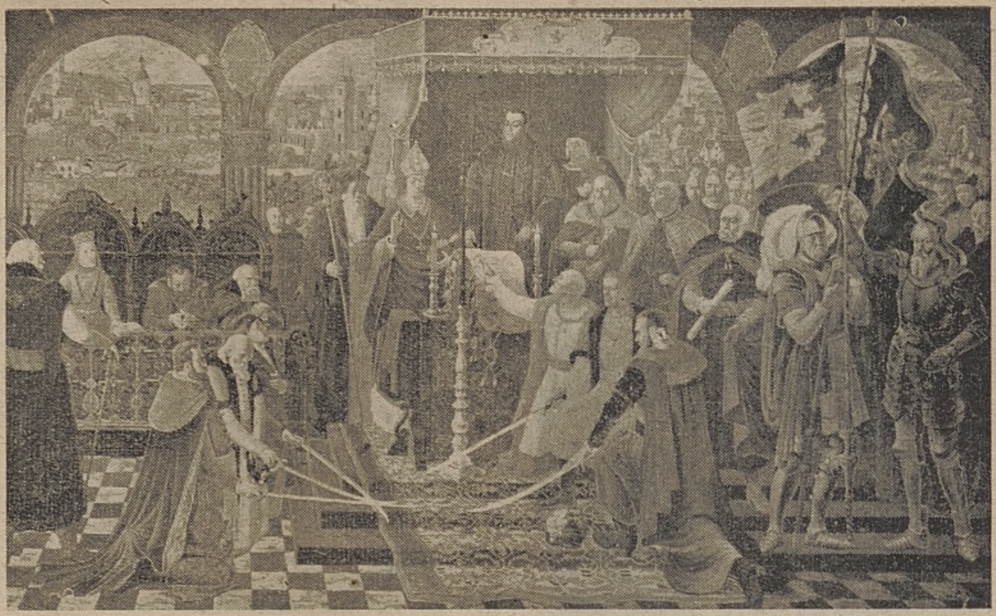
Rano pojechał autem na rue de la Pompe.

Stróżka odrzekła, że dyrektor Devadatte nie był w domu, odkąd wczoraj rano wyszedł do banku.

— Jakto? Czy mu się to częściej zdarza?

— Nie, nie — ale raz też wyjechał na dwa dni i nie zawiadomił.

— To kawaler?



11 członków Bractwa św. Łukasza utworzyło wspólnie 7 obrazów na tematy z historii Polski. Obrazy te przeznaczone są do pawilonu polskiego na wystawie w Nowym Jorku. Powyżej reprodukujemy jeden z nich pt. „Unia Lubelska r. 1569"



Miła scenka z balu dziecięcego w Sztokholmie. Młoda para w norweskim stroju ludowym.

— Tak, zupełnie samotny. Nie ma nawet służby. Ja robię tam porządki.

Detektyw spojrzał na zegarek. Była dziewiąta.

Szybko pojechał na rue d'Antin, do „Banque de Paris et des Pays-Bas".

— Muszę zebrać informacje o tym Véry! Psiakrew! Sprawa się przeciąga! Ale nie ujdzie mi!

Jeszcze w nocy podał rysopis i nazwisko Alfreda Véry do wiadomości służbie bezpieczeństwa. Agenci pilnowali na wszystkich dworcach i na rogatkach, wysłano zawiadomienie na posterunki graniczne.

Koło zacieśniało się!

ROZDZIAŁ 17.

DIALOGI BANKOWE

— Czy mogę się widzieć z dyrektorem Devadattem?

Odźwierny Turpillon odrzekł:

— Nie przyszedł jeszcze.

— O której przychodzi?

— Punktualnie o ósmej.

— Jest już po dziewiątej!

— Właśnie dziwię się. Nie zdarzyło się to dyrekto —

— Kto go zastępuje?

— Dyrektor Pax.

— Jest.

— Jest. Drugie piętro, pokój 40.

— Proszę!

— Jestem Robert-Robert, detektyw.

— Pax. Pan w sprawie?

— Pana Alfreda Véry.

— Véry? Nie pracuje już u nas.

— Chodzi mi o pewne informacje.

— Udzieliłby ich najlepiej dyrektor Devadatte.

— Nie ma go.

— Nie ma go? Niemożliwe!

— Nie ma go i od wczoraj rano nie był w domu.

— Co?

— Od wczoraj rano nie był w domu.

— To dziwne. Nie wyjechał w żadnych sprawach bankowych...

— A prywatnych?

Dyrektor Pax rozłożył ręce:

— O ile wiem, dyrektor Devadatte nie ma nigdy żadnych spraw prywatnych. Prowadzi samotne życie. Zresztą zawiadomiliby mnie jako zastępcę...

— Dlaczego pan Véry nie pracuje już u panów?

— Odszedł — o ile pamiętam — z dnia na dzień — z końcem sierpnia.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Na własne żądanie. Mogę poprosić kierownika działu, w którym pracował.

— Proszę.

— Halo — oddział czekowy — kierownik Jauras... Pax... Proszę przyjść do mnie... Tak, zaraz... Dyrektora? Nie, nie w tej sprawie... Ale i o tym pomówimy... Tak...

W chwilę potem zjawił się kierownik Jauras.

— Pan Jauras — pan Robert-Robert. Pan udzieli panu Robert informacyj o odejściu pana Véry.

— Pana Véry? Odszedł nagle — bez wypowiedzenia. Dyrektor Devadatte oświadczył mi, że na własne żądanie wskutek spraw prywatnych.

— Odszedł nagle?

— Tak. Pewnego dnia zawezwał go dyrektor Devadatte. Po rozmowie z nim wrócił, wyszedł bez pożegnania — i od tego czasu nie widzieliśmy go.

— Był podobno wczoraj w południe u dyrektora Devadatte.

— Nic o tym nie wiem. Jeżeli był, to nie przechodził przez biuro.

— Zostawił wszystko w porządku?

— Tak i nie.

— Jakto?

— W księgowości czeków była różnica pół miliona na niekorzyść banku.

— O!

— Ale szkontrum nie wykazało braku kasowego. Wszystko było w porządku. Dyrektor Devadate twierdził, że pan Véry przechodził przykre historie prywatne i dlatego to niestaranne prowadzenie ksiąg w ostatnich czasach i w końcu jego rezygnacja z posady u nas.

— Jednym słowem ścisłe powody wie tylko dyrektor Devadatte?

— Tak.

Detektyw zamyślił się. Tymczasem Jauras rozmawiał z dyrektorem Pax.

— Dyrektor Devadatte nie przyszedł jeszcze!

— Tak — i podobno od wczoraj rana nie było go w domu!

— Co? Kto to mówił?

— Pan Robert...

— Lecz to jest niepokojące!



Trudną i odpowiedzialną jest służba radiotelegrafisty wielkiego samolotu pasażerskiego. Na zdjęciu widzimy go w chwili podawania meldunku pilotowi prowadzącemu samolot.

— Istotnie...
— Nie zawiadomił pana?
— Nie. To nie jest w porządku...
— Może zatelefonować jeszcze do domu!
— Można...
Ale słuchawkę ujął detektyw.
— P a s s y 47-72.
— Łączę.
Po dłuższej chwili:
— Nie odpowiada!
Detektyw powiesił słuchawkę.
— Panowie, uważacie to za bardzo niepokojące?
— Bardzo!
— Nie zdarza się to nigdy?
— Nigdy!
— Chyba, że wyjeżdża w sprawach bankowych.
— Wtedy naturalnie zawiadamia mnie osobiście!
— Hm...
Ujął słuchawkę i połączył się z oddziałem pogotowia policji.
— Nie było żadnego wypadku z dyrektorem Devadatte — De - va - dat - te... Dobrze... Nie? Dziękuję...
— Co pan o tym myśli, panie Robert? — spytał dyrektor Pax.
Robert-Robert mimo woli łączył zniknięcie dyrektora z porwaniami wczorajszego dnia i z osobą pana Véry.
— Czy nie należy to do tego niewytłumaczalnego cyklu wczorajszego? — spytał Jauras.
Detektyw odrzekł:
— Tamci wracali po kilku godzinach...
— To prawda...
Detektyw wstał.
— Proszę zaprowadzić mnie do gabinetu dyrektora Devadatte.
— Pana dyrektora nie ma wciąż! — oświadczył im zaniepokojony jak wszyscy woźny.
— Wczoraj w południe był u dyrektora pan Véry?
— Tak, proszę pana.
— Nie słyszał pan, o czym rozmawiali?
Woźny zapłonął z oburzenia.
— Czy sądzi pan, że ja podsłuchuję?
— Nie. Ale czasem dolatuje jakieś słowo...
Woźny zamyślił się.
— Tak...
— Więc?
— Pan Véry stojąc w drzwiach rzekł jeszcze:
— Więc o trzeciej na pewno.
— A dyrektor?
— Pan dyrektor odrzekł:
— Tak, punktualnie o trzeciej.
— Więcej pan nic nie słyszał?
— Nic.
Wchodząc do gabinetu dyrektora detektyw pomyślał.
— Na pewno Véry łączy się z zniknięciem dyrektora... Véry porywał tamte cztery osoby... Wracały... Dyrektor nie wraca... Ale między Véry a nim rozegrała się parę tygodni temu scena w cztery oczy, o której nikt nic nie wie, a po której Véry z miejsca opuścił posadę... Tu będzie coś poważniejszego...
Przeszukał papiery, biurko... Nic. Sprawy bankowe. Nic prywatnego i nic dotyczącego osoby pana Véry.
Detektyw zaklął, gdy nagle wzrok jego padł na kosz do papierów...

ROZDZIAŁ 18.

„..VE ..SPŁACI ...MILIO..."

Otworzył go.
Pusty.
Tylko na samym dnie przywarty do wgłębienia mały kawałeczek szczerniałego papieru.
Papieru, który spłonął.
Detektyw ostrożnie i delikatnie ujął ten skrawek.
Położył go na białym arkuszu papieru.
Tak. Były tam słowa.
Można odczytać parę liter...
Jest „s", jest „l", jest „j"...
Cóż z tego?
Długo badał skrawek zwęglonego papieru przez szkło powiększające...
Nagle —
W zgięciu skrawka drżały czytelnie dwie litery:
„Vé"...
Można było nawet zobaczyć akcent nad „e".
Vé — Véry...
A dalej?
„S-ł-ci"...
Nie...
Jest tam jeszcze jedna litera. Czy nie jest to „p"?
„Spł - ci"....
A więc: „spłaci"...
Véry — spłaci...
Dalej?
Z największym trudem, bolącymi już oczyma detektyw zdołał odcyfrować litery, które dały słowo.
„Milion"...
Więc milion...
Trzy słowa:
A jeśli nie spłaci...
Kierownik Juras mówił o pół milionie niezaksięgowanym na niekorzyść banku...
Jeżeli treścią rozmowy pierwszej między dyrektorem Devadatte a panem Alfredem Véry była kwestia złego zaksięgowania — niezaksięgowania w ogóle — czyli... i jeżeli dyrektor Devadate napisał coś, Véry spłaci pół miliona... Zapewne termin... warunki... Potem Véry znika... Jedzie do Nicei — niedaleko jest do Monte Carlo — potem wraca i znów znika... Nikt nic o nim nie wie... Potem — wczoraj — druga rozmowa... Proszę spalić ten papier ...Niech już nie istnieje... Ja — spłacę... Kiedy? ... Po południu... o godzinie trzeciej... Gdzie?... Tam a tam... Dobrze. Papier spłonął. Nie ma dowodu na piśmie. Jest jeszcze tylko dowód żyjący — dyrektor Devadatte... On jednak wie... Poza tym nikt... Więc o trzeciej na pewno! ...? ...Punktualnie o trzeciej!... Od tego czasu dyrektor Devadatte znika...
Detektyw dedukował sobie tę całą sprawę z dziwą pewnością. To już nie jest błądzenie po omacku! A. V.! Alfred Véry! Człowiek z auta, który odjeżdżał z porwanym kelnerem Ramon! Tego człowieka odnajduje się tu — w banku — w dziwnych okolicznościach... Dwie rozmowy w cztery oczy — po pierwszej znika pan Véry — po drugiej znika dyrektor Devadatte...
„Véry spłaci pół miliona"...
— To to!
Detektyw odetchnął. Nareszcie! Nareszcie! Nareszcie!
Był pewny. To już działała jego intuicja — jego zdolność dedukcji — jego jasnowidzenie. To, co poprowadziło go wczoraj do rejestru — potem do indeksu wojskowego...
— Nareszcie! — westchnął. — I jest jeszcze jedna rzecz...
Nagle przyszła mu ta rzecz na myśl...
Véry chce usunąć dyrektora... Czy nie korzysta on z uprowadzeń dnia poprzedniego... A raczej — czy nie po to te nieszkodliwe cztery uprowadzenia, by piąte —



Na Via Nazionali w Rzymie Mussolini przyjął defiladę armii włoskiej.

W tym coś jest... Tu się dwie sprawy łączą...

A więc jedna tylko rzecz do zrobienia: Znaleźć Alfreda Véry! Za wszelką cenę! Nie zawaha się przed niczym! Ogłoszenia — nagroda — listy gończe!

Wybiegł z gabinetu dyrektora.

Dyrektor Pax i kierwnik Jauras czekali pod drzwiami zaniepokojeni.

— Więc proszę pana?

Ale detektyw nie miał czasu na rozmówki. Biegł pędem po schodach, by na zakręcie pierwszego piętra zderzyć się z całych sił z człowiekiem pędzącym również szybko schodami do góry.

Detektyw zatoczył się i musiał się chwycić poręczy. Ale gorzej było z tym drugim. Chwycił się także poręczy, ale siła uderzenia była tak wielka, że kurczowo trzymając się wyślizgującej się poręczy zjechał w tył po schodach aż na półpiętro, śmiesznie wyginając nogi od kolan, by się zatrzymać. Na półpiętrze, zupełnie straciwszy równowagę i nabrawszy już energii kinetycznej podczas swej jazdy w dół, puścił śliską poręcz i w dziwnych łamańcach zajechał aż pod ścianę, o którą oparł się i to dość silnie. Siedział tak przez chwilę zadyszany, wściekły, sztyletując detektywa wzrokiem, aż wreszcie wypluł ze swej długiej, czarnej brody:

— Niech pana jasny szlag trafi! Niech pana cholera ciśnie! Niech —

Detektyw stanął przy nim i usiłował go podnieść.

Reporter zataczał się i opierał o ścianę, a detektyw był moralnie zmuszony uwolnić jego elegancki płaszcz od białozielonych fragmentów ściany.

— Bardzo pana przepraszam...

— Gdy się kogoś wzywa, czeka się na niego, a nie ucieka się przed nim jak wariat! — sapał reporter, masując sobie lewą rękę nadwyrężoną od kurczowego ściskania się z poręczą.

— Jakto wzywa?

— No wezwał mnie pan telefonicznie przed dziesięcioma minutami — do stu tysięcy diablic!

— Ja?

Detektyw zaniepokoił się o zdrowie upadłego ze schodów.

— Czy boli pana głowa? Naprawdę, najmocniej przepraszam...

Ale reporter miał już dosyć. Nagle podskoczył, stanął przed detektywem i wywijając rękoma ryknął, aż echo rozniosło po klatce schodowej:

— Psiakrew! Nie! tego już za dużo! Wczoraj wyszarpuje mi pan brodę! To program na rano! Na południe — program nowy: podejrzewa mnie pan, że porywam tych starych pryków! Panie! ja nie mam antykwarni! Panie! ja nie układam wzorów z łysin! Ale wczoraj cierpiałem jeszcze spokojnie. Dziś program inny znowu! Telefonuje pan: „Panie Refoult! natychmiast do „Banque de Paris et —", rue d'Antin! Potrzebny pan! Uprowadzenie dyrektora Devadatte!" Lecę! Lecę zadyszany! Myślę: współpraca! jestem potrzebny! Lecę przebaczyć panu wczorajsze dwa programy! Ale jakto? co to? Pan poniewiera mną po schodach! po przynajmniej dwunastu schodach! Możemy policzyć — pienił się reporter i niesposób było powstrzymać jego grzmiącą tyradę. — Tak! ciska mnie pan o ścianę! wykręca mi pan ręce nogi. Wstrząs nerwowy! Tak! A jeszcze — drwi pan sobie ze mnie! Kpi! „Ja nie telefonowałem — czy boli pana głowa?!" Aaa!

Reporterowi zabrakło oddechu. Schody zalane były przerażonymi lub roześmianymi postaciami. Dyrektor Pax zbiegał do niego. Detektyw porwał reportera za ramię i ściągnął na dół.



Karnawałowe melodie

...W pucharach szampan burzy się i pieni,
Do szału woła, zapomnień, do śnień...
Nie tesknij, wreszcie otrząśnij się z cieni
W jeden jedyny ten dzień!...
Patrz, tuż przy tobie na zastawnym stole
Dostatek, wymysł i nektar w krysztale...
Lśnią się u stropów pyszne żyrandole,
Echem muzycznym rozbrzmiewają sale.
I sto się ramion oplata wzajemnie,
I sto uścisków namiętnością płonie...
O ileż szeptów i wyznań tajemnie
Dziś się wypowie... i w niejednym łonie
Zabije serce przyspieszonym tętnem
Przy jednym takim wyznaniu namiętnym.

* * *

— Nie umiesz się bawić, dziwny ty Pierrocie,
Nie rozgrzał szampan młodej twojej krwi!...
Jeszcze o swojej dumasz wciąż tęsknocie,
Jeszcze ponurość ciągle w Tobie tkwi!
Niech wreszcie „wczoraj", na zawsze zaginie,
Zatrać sens życia i tę jego treść...
Proszę, zapomnij o swej Colombinie,
Bo nuda zdławić może Cię i zgnieść.
Patrz, jaka ramion biel jest atłasowa,
Patrz, jak cię wabią ust świeże karminy...
Na całe życie jestem z tobą iść gotowa,
Mojej miłości zapłoną rubiny.
Tylko się nie patrz drwiąco, na wpół smutnie!
Och, bo nie lubię, gdy mnie ktoś tak drażni...
A może tylko chcesz tak bałamutnie
Zagrać na zmysłów mojej wyobraźni?...
Mogę przebaczyć, mogę się zagniewać
I mogę nie dać długo się przepraszać...
Chodźmy! tłum śpiewa... idźmy razem śpiewać,
Gdyż życia szarość trzeba wciąż okraszać

* * *

...Szampan w krysztale pieni się i skrzy,
Tony spłynęły cicho i przyzywnie...
— „Czemuż, Pierrocie, ręka twoja drży,
Dlaczego patrzysz tak dziwnie?...
Umocz swe usta w szampanie spienionym,
Niech zmyje wreszcie gorycz z twoich warg,
A gdy już będziesz dobrze odurzonym,
Pozbędziesz skrytych się skarg." —
Nie słucha Pierrot ...twarz ma taką bladą,
Chciałby zapomnień szukać tu, lecz nie,
Nie owinęła wesołość kaskadą
Duszy tej smutnej, och, nie!
— „Gdzieżeś przesłodka, wiotka Colombino?
Kto mi cię urzekł i jak?...
Przy tobie tylko niepewności zginą,
Ulecą szybko jak ptak!...
Urzekłaś mi duszę cichymi słowami,
Zabrałaś mi ją całą, chwilą tą jedyną!...
Idę i idę teraz marzeń krainami,
Jak cień się czaję długimi nocami,
Co w nicość uchodzą i płyną...
Wskazałaś mi cel wielki, jak wzorzystą tęczę
W niepomierzonej bezedni...
Kwieciste razem rwaliśmy naręcze
Bez ludzi, sami my jedni...
Dzień szedł tak za dniem i sen trwał proroczy...
I niczym nie mógł, tylko trwać w olśnieniu...
Czar jakiś urzekł tęskne moje oczy
W dalekowidnym marzeniu.
...Ale odeszłaś nocą straszną i przepastną,
Niepomna na to, co uczynisz ze mnie,
O czemuż z żalu wszystkie gwiazdy nie zagasną,
O, czemu płoną, drwią sobie nikczemnie!...
Jak garść łachmanów jestem dziś rzucony,
Tysiące wichrów duszą mą pomiata...
Odejść ze wzgardą?... przez ciebie-m wzgardzony,
A więc nie żyję dzisiaj już dla świata...

* * *

...W pucharach szampan pieni się i skrzy,
Tony się sączą smętnie i przyzywnie...
„Czemuż, Pierrocie, ręka twoja drży,
Dlaczego patrzysz tak dziwnie?"

Eleonora Klidzia.

— Puść mnie pan — nie chcę — ja nie umiem tak szybko po schodach! — ryczał nieszczęsny reporter.

Detektyw wepchnął go w drzwi, a potem do swego samochodu. Jadąc w kierunku Cité tłumaczył się i przepraszał.

— Więc to nie pan telefonował?

— Z pewnością nie! Ktoś, komu zależało, by pan —

— Bym zleciał z dwunastu schodów!

— By się pan dowiedział o porwaniu dyrektora

— Swoją drogą będzie znów sensacja... Po co mnie pan turgasz w swym pudle? Nie chcę jechać z panem. Zderzysz mnie pan z kimś. Boję się po prostu. Nie mam już zaufania do pana. Mnie życie jeszcze miłe. Do widzenia!

Detektyw zahamował i reporter wyskoczył z westchnieniem ulgi.

Lecz detektywowi przyszła w tej chwili jedna myśl do głowy:

Jeśli zawezwano reportera, to znaczy... To znaczy, że sprawcy porwania dyrektora chcą by o tym dowiedziano się ogólnie jak i o tamtych porwaniach!

Co to ma znaczyć? Czyżby porwanie dyrektora nie było tak tragiczne, jak to sobie wykombinował?

— Wściekła historia! — zgrzytnął.

Przyjechawszy na policję, wysłał natychmiast dwu agentów — jednego na rue de la Pompe pod dom dyrektora Devadatte, drugiego na rue d'Antin do banku. Gdyby się coś stało, zawiadomią go natychmiast.

Dyrektor Lafettal był w biurze. Robert — Robert podzielił się z nim wynikami swych dochodzeń.

— Ta teoria ma pewne podstawy — rzekł dyrektor — trzeba tylko...

— Trzeba tylko złapać pana Alfreda Véry!

— Nie mamy prawa do ogłoszenia publicznego! Wykluczone są listy gończe i ogłoszenia z nagrodami na podstawie tylko chwiejnych przypuszczeń!

— Chwiejnych! A fotografia nic nie mówi? To przecież na pewno jest Véry!

— Na pewno?

— Na pewno!

Dyrektor pokręcił głową:

— Pan wie, że fotografia nie zdjęta policyjnie nie może być dowodem.

— Tak, ale w tym wypadku

— W tym wypadku jest to samo. Nie mamy prawa! Panu mogło się wydawać, że pan ten ma czarne oczy, a on ma bure, piwne, brązowe! A to A. V? To nie było dla mnie nigdy dowodem przekonującym! Czy dany osobnik nie mógł ukraść gdzieś tego płaszcza? Zamienić naumyślnie? Lub — po prostu! — przyszyć inicjały A. V., podczas gdy sam nazywa się na B. X. lub J. J. F.!... Nie możemy rozsyłać listów — nie można tego ogłaszać. Owszem, zgadzam się — są podejrzenia na pana Véry, niechże go więc pan śledzi, tropi i cupnie po cichu! Ma pan całą policję do rozporządzenia!

Detektyw Robert — Robert śledził i tropił, ale nie cupnął... To nie było tak łatwo!

Prasa rozwrzeszczała się już na dobre. Nieudolność policji! Pięć uprowadzeń! Co to znaczy! Co robi detektyw Robert — Robert, któremu oddano tę sprawę...

Robert — Robert nie miał czasu na studiowanie opinii prasy. Wieczorem jednak wziął do ręki wieczorne wydanie „L'Ami du Peuple".

Przerzucił szybko i przełknął gorycz. Nagle

Wzrok jego padł na ogłoszenie — ogłoszenie na pół kolumny...

Tłustym drukiem rzuciły się w oczy słowa:

JUTRO!!!

Jutro dowiecie się prawdy — **Jutro dowiecie się dlaczego**

zostali uprowadzeni panowie: 1) poseł de Ronet 2) dyrektor Lafettal 3) kelner Ramon 4) przemysłowiec dr. Gruenbaum 5) dyrektor Devadatte

A gdy się dowiecie — korzystajcie!!!

Przeczytawszy to, detektyw Robert — Robert upadłby na ziemię — ale było to o tyle niemożliwe, że na szczęście siedział na solidnym krześle.

Więc co ma znaczyć ta cała sprawa?

Co znaczą te cztery nieszkodliwe porwania i to piąte niewyjaśnione, ale zapewne też nieszkodliwe, jeżeli ma się wyjaśnić jutro — jeżeli wyjaśnić mają całą tę prawdę sami jej autorze!

Drzwi otworzyły się nagle i Robert-Robert aż wzdrygnął się. Był to dyrektor Lafettal.

— Czytaj pan! — huknął i rzucił na biurko detektywa pomięty w złości numer „L'Intransigeant".

Detektyw wiedział co zawiera ten dziennik...

— Niech pan to przeczyta, dyrektorze — wskazał na „L'Ami du Peuple".

Dyrektor rzucił okiem na wskazaną gazetę.

— To samo jest w „L'Intran" — grzmotnął pięścią w stół. — Co to znaczy? Wycierają sobie gębę moim nazwiskiem — razem z panem kelnerem Ramanem! Dlaczego zostałem uprowadzony! Ha! do stu tysięcy!

Pienił się, chodząc po pokoju tam i z powrotem.



Trzyletnia mistrzyni tafli lodowej, która zamierza z czasem odebrać sławę Sonii Henie. Talent ten pojawił się w Rumunii.

DALEKI WSCHÓD PŁONIE...

Od dwóch już lat toczy się walka o każdy skrawek ziemi, pomiędzy Chinami i Japonią, walka prowadzona najnowocześniejszymi sposobami. Prócz zawieruchy frontowej wre ukryta wojna między tajnymi wywiadami obu państw. W sieć tych intryg niejednokrotnie wpadają ludzie rasy białej.

Na tym tak fascynującym i obecnie aktualnym tle przewija się jak najbardziej sensacyjny film — akcja najnowszej powieści **ADAMA CZEKALSKIEGO** p. t.

„NARZECZONA z SZANGHAJU"

Druk tej powieści rozpoczniemy już wkrótce.

ROZDZIAŁ 19.

?

Jakto! Tyle włożonych wysiłków — nareszcie posuwanie się po dobrej drodze i —

I ma się to wyjaśnić samo?

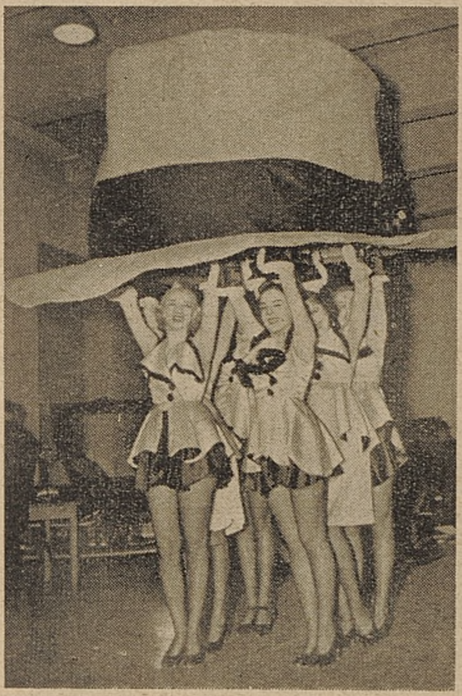
Nie rozwiąże tej sprawy Rober-Robert!

Co to ma znaczyć?

Są ludzie, którzy w ostatnich dwóch dniach zajmowali się porywaniem, usypianiem i odstawianiem na miejsce innych ludzi. Tylko piątej ofiary nie odstawili solidnie do domu jak powinni, sądząc z czterech poprzednich wypadków. Ludzi tych śledzi Robert-Robert, błąka się, myli ślad — zresztą tak niemożliwy prawie do odszukania w tej splątanej, ciemnej, a tak bezczelnej aferze! — wreszcie odnajduje nić, za którą musi dojść do kłębka — nicią tą jest Alfred Véry — jego sprawa z dyrektorem Devadatte — jego pół miliona franków — i wtedy, gdy Robert-Robert jest na jego tropie, gdy jest kwestią godzin — no, powiedzmy, dni — znalezienie łotra i rozwiązanie całej tej zagadki — wtedy sami ci zbrodniarze, te bezczelne, rozwiązłe indywidua ogłaszają w „L'Ami du Peuple".

— Jutro! Jutro dowiecie się prawdy! Jutro dowiecie się, dlaczego...

Jutro! Jutro...



Sześć uroczych dziewcząt dźwiga z uśmiechem na twarzy największy kapelusz świata, zrobiony z okazji „Tygodnia kapelusza" w Filadelfii (U. S. A.)

Detektyw podskoczył tymczasem do telefonu, przeczytawszy numer administracji pisma w nagłówku. Podał go.

— Łączę — stereotypowy głos telefonistki.

Za chwilę dzwonek i zapytanie:

— Halo?

— Dział ogłoszeń „L'Ami"?

— Łączę...

Za chwilę:

— Dział ogłoszeń?

— Tak.

— Tu policja. Kto dał ogłoszenie w wydaniu wieczornym zaczynające się od słowa „jutro" na piątej kolumnie?

O ogłoszeniu tym zapewne dużo rozmawiano w administracji pisma, gdyż głos odrzekł jakby przygotowany na to zapytanie:

— Zlecono je telefonicznie tuż przed zamknięciem numeru.

— Kto zapłaci za nie?

— Pieniądze za to ogłoszenie przyniósł przedczoraj po południu jakiś młody człowiek —

— Brunet? czarne oczy?

— Brunet, tak...

— I?

— I oświadczył, że ogłoszenie, którego treści nie chciał zdradzić, zostanie zlecone dziś tuż przed godziną piątą — godziną zamknięcia numeru.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

MARIA REUTT 5)

Głos Krwi

Romans obyczajowy z polsko-niemieckiego pogranicza

I gdy zostanie baronową Engeldorf, dziedziczką na Ostrogórzu, Upierowie z przyległościami i postara się wówczas, aby o tych „polskich bękartach" słuch zaginął.

Nie miała nic przeciwko tym dzieciom jako dzieciom polskim. Nie odczuwała żadnej rasowej do nich nienawiści; nie cierpiała ich dlatego, bo bała się, że mogą stanąć na jej drodze do celu, że to nadzwyczajne podobieństwo chłopca do barona i przywiązanie barona do nich, tak dziwne, że aż śmieszne, może odebrać jej to, do czego zawsze dążyła: bogactwo, stanowisko, no i miłość narzeczonego.

SERCE MATKI

Stanisław został niemile zaskoczony chłodnym, pełnym rezerwy przyjęciem ze strony pani Namielskiej, gdy wpadł do leśniczówki w słotny, zimny dzień.

Zawiedziony, rozżalony, wodził za nią zasmuconymi oczami, nie mając możności z powodu obecności dzieci i babki zapytać ją o przyczynę tej nagłej zmiany.

Dopiero gdy obchodzili, zostali na chwilę sami, bo babka zabrała dzieci, by przed snem poukładały na miejsce swoje zabawki.

— Co się stało? — pytał zaniepokojony, patrząc jej badawczo w oczy.

Spuściła głowę, powiekami przykryła zmącone źrenice i na rzęsach jej zaperliły się łzy.

Opowiedziała mu o wypadku dzieci i o swoim uczuciu i wrażeniu, jakie na niej wywarł ten wypadek.

— Ja tu mówiłam z tobą o miłości, gdy tam dzieci były o włos od śmierci.

Ujął jej dłoń i trzymał w swojej mocno, serdecznie.

— Jesteś wstrząśnięta i zdenerwowana. Gdy się uspokoisz, inaczej się będziesz zapatrywać na tę sprawę, maleńka.

Pocałował ją w rękę i odszedł, nie chcąc przeciągać struny, nie chcąc dopuścić do słów lub decyzji, których by trudno było potem cofnąć.

— — — — — — — —

Pani Namielska, zostawszy sama, upadła ciężko na fotel, ściskając skronie dłońmi.

Dusza jej rwała się na strzępy z bólu: dzieci lub miłość i szczęście osobiste — a tak go mało zaznała w życiu...

Co będzie, jeżeli odbiorą jej dzieci w imię ich praw do majątku i nazwiska? Jeżeli związana z innym nie będzie mogła iść za nimi i obcy, obojętni ludzie będą mieli prawo rozporządzać ich losem, kształtować ich dusze, troszczyć się o nie...?

Nie, to byłoby nie do zniesienia. Kochała tę swoją pareczkę ponad wszystko na świecie i nie mogłaby już żyć bez nich.

Nie mogłaby żyć bez widoku i obecności tych maleństw. A przecież były chwile, kiedy złorzeczyła losowi, że miały przyjść na świat, że je poczęto wbrew jej woli a gdy je rodziła, miała przeogromne pragnienie zaduszenia ich własnymi rękoma. Uczucie to towarzyszyło jej do chwili, gdy zakwiliły żałośnie, jakby skarżąc się na los, że je wyrwał z niebytu na ten świat.

Serce szarpnęło się boleśnie na to przypomnienie, bo nie mogła wyobrazić sobie teraz życia bez nich, tego, żeby one nie weszły w jej istnienie.

— Ja tu mówiłam z tobą o miłości, gdy tam dzieci były o włos od śmierci.

Ujął jej dłoń i trzymał w swojej mocno, serdecznie.

— Jesteś wstrząśnięta i zdenerwowana. Gdy się uspokoisz, inaczej się będziesz zapatrywać na tę sprawę, maleńka.

Pocałował ją w rękę i odszedł, nie chcąc

— Przepraszam was, maleństwa, za te myśli złe i gorzkie, za te względem was złowrogie zamiary, za to pragnienie waszej śmierci — szeptała wśród łez.

— — — — — — — —

Baron wyjechał do Berlina samochodem w rannych godzinach, aby na południe zjawić się u adwokata Meyera.



Mussolini ściska serdecznie jednego z synów ochotników poległych w Hiszpanii.

Mecenas przyjął go z wielką uniżonością — ale niestety żadnych definitywnych danych „w wiadomej sprawie" nie osiągnął. Na ogłoszenie nie otrzymał zgłoszenia...

Baron nerwowo palił papierosa. Był zły i rozgoryczony tym wołaniem w próżnię, tym błądzeniem po omacku przez tyle miesięcy.

— Więc co robić? — pytał głosem, w którym dźwięczało zniechęcenie.

Mecenas rozwiódł rękami. — Czekać! Musimy dać jeszcze jedno ogłoszenie i jeżeli do końca roku dana osoba nie zgłosi się — sprawa zostanie przesądzona na korzyść pańską.

— Więc czy w tym czy w owym wypadku do grudnia sprawa będzie załatwiona? — spytał baron, wstając.

— Tak, panie baronie, to mogę panu z całą pewnością obiecać...

Po wyjściu od adwokata, baron kazał się zawieźć do restauracji Kurtza. Był to lokal nieduży, ale karmiono w nim doskonale, i gdy był sam, najchętniej tam zajeżdżał.

Pierwszą osobą, którą ujrzał, był Erik Neuman, najwierniejszy kompan w czasie wojny, najlepszy przyjaciel od lat dziecinnych.

Uścisnęli sobie ręce mocno, porozumiewawczo.

— Na długo jesteś w Berlinie?

— Nie, dziś wracam. Byłem u adwokata. Dobrze, że cię spotkałem — pomożesz mi wybrać prezent dla narzeczonej!

— Dla narzeczonej? — spytał przyjaciel, jakby nie wierząc uszom.

— Żenię się z Erną Rottenberg — odpowiedział niecierpliwie; gniewało go to, że Erik jakby się dziwił i uważał za niemożliwe jego plany małżeńskie.

— Ładna panna! Kiedyż ślub?

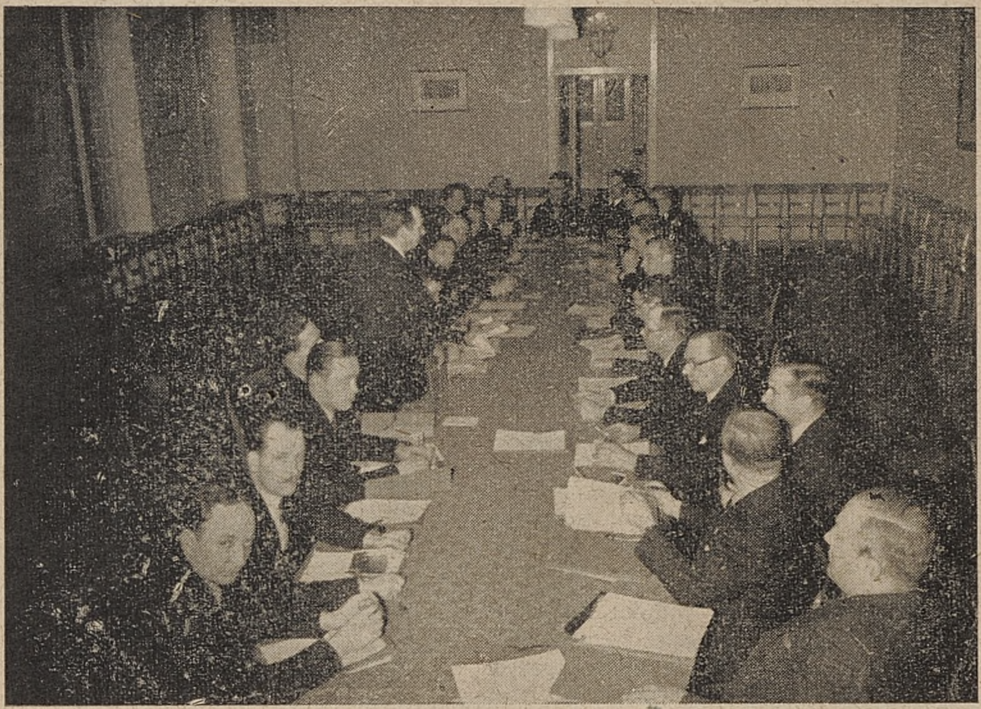
— Prawdopodobnie w początkach stycznia.

— Ach tak? No to wypijemy nasze kawalerskie. Szkoda, że zaraz wracasz: urządziliśmy sobie dziś pożegnanie twej swobody, że aż miło!

Baron wstrząsnął się. — Pamiętasz Liege? Tam również urządziliśmy sobie oblewanie...



W międzynarodowym konkursie hippicznym w Berlinie ekipa polska odniosła wielki sukces, zajmując trzecie miejsce. Na zdjęciu rotm. Komorowski w chwili odbierania nagrody.



Prezes Ligi Drogowej p. St. Tyszkiewicz przemawia na konferencji prasowej

Przyjaciel spojrzał na niego badawczo i chmura przykrych wspomnień przeszła mu przez oczy.

— Tragiczne Liège — powiedział, podnosząc kieliszek z wódką do ust.

— Ileż to człowiek w życiu popełnia głupstw, które wloką się za nim jak kula galernika i nie raz z chęcią oddałby conajmniej połowę tego, co posiada, by je wymazać ze swego życia i pamięci.

Erik kiwnął głową. On również mógłby niejedno na ten temat powiedzieć.

— — — — — — —

Gdy jedli pieczyste, Erik zagadnął go między jednym kąskiem kaczki a drugim:

— Co się z nią stało?

Baron spochmurniał: — Nie wiem .. może umarła... Nie zgłaszała się do mnie nigdy...

— — — — — — —

Dla Erny wybrali śliczną platynową bransoletkę, wysadzaną brylantami i szmaragdami...

— Kochasz ją bardzo? — spytał przyjaciel, gdy wyszli od jubilera.

— Bardzo — wyznał szczerze. — Działa mi na zmysły, jak żadna dotąd. A przytem jest bardzo dobra, taktowna no i kocha mnie do szaleństwa. Zazdrosna jest nawet o dzieci.

— O dzieci? O jakie! Czyje... Twoje?

— No wiesz! też masz pomysły! Dzieci te, to wnukowie długoletniego leśniczego mego śp. stryja. Bardzo miłe i inteligentne dzieci. Lubię je, szczególniej chłopca. Dobrze, że sobie przypomniałem. Chcę kupić chłopcu komplet okrętów i łódek, a małej dużą lalkę.

Opowiedział mu tragiczny wypadek, jaki się zdarzył dzieciom podczas wizyty w Ostrogórzu. Te prezenty miały być rekompensatą za przykrą kąpiel.

SNY O SZCZĘŚCIU

Nie dał się baron namówić na kawalerską bibkę. Wiedział, jak się kończy taka męska zabawa. A potem każda taka rodzaju uczta zostawia niesmak, ból głowy i znużenie, gdy nie ma się nastroju. Ze względu więc na Ernę wolał wymówić się od niej.

— — — — — — —

Przyjechał późno w nocy. Ernę zobaczył dopiero nazajutrz przy drugim śniadaniu.

— Miała — jak mówiła — złą noc. Bolała ją głowa, nie mogła usnąć prawie do rana.

Jej wygląd, cera i błyszczące źrenice zadawały kłam temu twierdzeniu. Wyglądała pomimo owego znużenia jak wiosenny poranek, — złotowłosa, różowa, w błękitnej sukience z krótkimi rękawami. Ujął ją za rękę, powiódł wargami od palców aż po łokieć i nie puszczając, włożył jej bransoletkę.

Erna krzyknęła z zachwytu; w odruchu wdzięczności objęła go za szyję i przytuliła twarz do jego policzka: — Abi, dziękuję.

Objął ją wpół, przywarł wargami do jej ust i ssał z nich słodycz rozkoszy, aż do utraty tchu.

— — — — — — —

Po południu wysłał posłańca do pani Namielskiej z prezentami dla dzieci. Miał ogromną ochotę sam je zawieźć, ale przemógł się. Po co ma się zbytnio przyzwyczajać do tych obcych dzieci, które dziś tu są, jutro ich może nie być i nawet ślad po nich zaginie?...

Namówił Ernę, aby pojechała z nim po folwarkach; wieczorem wybrali się łódką na staw.

Noc była ciepła, cicha, jasna, księżycowa. Woda w białym świetle księżyca połyskiwała jak posrebrzana. Płynęli wolno, ledwo pluskając wiosłami, upajając się czarem nocy letniej, nocy lipcowej i swoją miłością...

A gdy wrócili, siedzieli długo na kamiennych stopniach werandy, przytuleni do siebie i roili plany na przyszłość gdy będą razem.

— — — — — — —

Erna wróciła do siebie rozmarzona, pełna mocnego postanowienia, że rojenia te i plany muszą ziścić się w całości. Przed snem stanęła przy oknie i patrzyła przed siebie na rozległe pola, na ciemną wstęgę lasów, na migocące niczym świętojańskie robaczki zabudowania cukrowni.

Już za kilka miesięcy będzie panią tego wszystkiego, żoną kochanego dorodnego mężczyzny. Będzie wtedy traktować z góry macochę, odpłaci jej się za wszystkie upokorzenia.

— — — — — — —

Baronowi śnił się Jurek. Śmieszny sen. Chłopiec siedział mu na karku i trzymając się za jego włosy, popędzał go, bijąc piętami po piersiach...

Obudził się z pragnieniem ujrzenia chłopca — Pojadę do Ustronia po śniadaniu — zadecydował. Mama i Erna śpią jeszcze...

Jednakże nie pojechał rano. Gdy siadał na koń, nadjechał administrator na ważną i niecierpiącą zwłoki konferencję w sprawie jakiegoś zatargu na tartaku.

Konferencja ta przeciągnęła się prawie do południa. Przy drugim śniadaniu zjawiła się tylko baronowa.

— Erna czuje się niedobrze i leży w łóżku — oznajmiła synowi.

— Wobec tego pojadę po południu do Ustronia dowiedzieć się, jak dzieci zniosły tę niespodziewaną kąpiel — oznajmił matce.

Niepokój, który zagnieździł się w jej sercu od czasu wizyty Jurka i Bożenki, przycichł z czasem. Teraz znów obudził się przy słowach syna.

Popatrzyła na niego badawczo.

— Abi, powiedz mi szczerze: co, przy kto ciebie tam ciągnie?

Spojrzał matce prosto w oczy i odpowiedział bez wahania i zająknienia się: — Dzieci, szczególniej chłopiec. Sam nie wiem, co to jest, że tak przylgnąłem do tego chłopca. Tęsknię za nim...

— A matka? — zagadnęła.

Wzruszył obojętnie ramionami:

— Matka... Zwykła prowincjonalna gąska. — Przypomniał sobie jej muzykę. — Chociaż, zdaje mi się, że zna języki i wcale nieźle gra na fortepianie...

Gubiła się w domysłach.

Oglądała tyle razy fotografię Namielskiego: wysoki, chudy mężczyzna o ascetycznej twarzy, małych oczach i niskim, czole, w niczym nie przypominał jasnych, dużych oczu dziecka, jego wysokiego czoła i rasowej twarzyczki.

— Erna jest zazdrosna o te dzieci... — zauważyła nieśmiało.

Zmarszczył brwi.

— Dziecinada — mruknął.

(Ciąg dalszy na stronie 153)



Bocianowi, który przy jakiejś okazji stracił nogę, troskliwy opiekun sporządził protezę.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

SIELANKA.

Cicho spocząć — na dalekim wschodzie,
Zorza — gdzieś rąbek odsłania,
Wstęgi złociste kąpie w białej wodzie
I z nieba morzu się kłania.

Z błękitnej strefy, ku ciemnej głębinie —
Cudnych barw tęcze spływają —
I coraz śmielsze, w przedświtu godzinie
Z falami morza i grają...

Nic nie zmąci harmonii! Błękity bez końca
Zlewają się z falami w bezbrzeżnym przestworzu,
A lazur wciąż nowego posyła im gońca.
I nie wiem, czy to słońce uśmiecha się morzu,
Czy rozkochane morze śmieje się do słońca.

Zbigniew Wicherek.

DOBRE RADY PANI ZOFII

PROSZĘ O ADRESY!

O adresy, celem doslania zalegających w redakcji listów, proszeni są p.p.: „Tajemniczy nieznajomy", „Armeńczyk", „Smutnooki Jaś".

PODAŁAM JUŻ!

„Zaza". Nie możesz się nawet domyślić, jak cieszę się, że nabrałaś optymizmu i przysługującej Ci młodzieńczej werwy.

Owszem, receptę na schudnięcie podałam już w odpowiedzi dla Irki, możesz i Ty ją zastosować.

O, ucieszę się ogromnie, gdy zechcecie mnie odwiedzić! A kiedy mogłoby to nastąpić?

Wierszyk Twej Koleżanki otrzymał Wujek Janusz do oceny.

To byłoby wszystko na razie. Posyłam Ci serdeczności i przechodzę do komunikatów:

„Smuta i b. Irka". „Daj Ci Boże szczęście" w tym nowym roku. Całuję Cię serdecznie, kochany grubasku.

„Zuch - dziewczyna". Uzbroiłam się w cierpliwość i czekam na obiecany list, a tymczasem zasyłam milutkie pa!

„Szyderca". Nie mogłeś obrać lepszego pseudonimu, chcąc wzbudzić zainteresowanie u naszych „Krainianek", nie wyłączając mnie. Może napiszesz kilka słów?

„Szukający". Zasyłam Ci gratulacje. Może skrobniesz do mnie liścik?"

DOKĄD?

„Rodzince" — poświęcam.

Dokąd dążycie wielcy wynalazcy?
Dokąd prowadzą wasze ulepszenia?
Do egzystencji ogólnej ludzkości,
Czy katastrofy, co świat w proch zamienia?

Te przepotężne cuda — maszynerie,
To szczyt techniki dwudziestego wieku,
Ale w swej pracy, co daje miliony,
Zapominacie o szarym człowieku...

O tym człowieku, który przez lat tyle
Pracował krwawo, lecz godził się z losem,
By, chociaż skromnie — utrzymać rodzinę...
Dziś zastąpiony jest waszym „kolosem"...

Mieczysław Grzegorski.

NATURALNIE!

P. J. Baranowski. Wierszyk poświęcony „Białemu Wrzosowi", zamieszczam.

Co u nas nowego? At, tak sobie życie płynie zwykłym trybem, nie wnosząc niczego znamienniejszego — przynajmniej na razie!

Nowelkę może Pan naturalnie nadesłać, jeżeli będzie nam odpowiadała, skorzystamy.

Życzę Panu szczerego natchnienia i posyłam przyjazny uścisk dłoni!

PRZYRZEKŁAŚ!...

„Jadzia". Gdy mi słałaś ostatni swój list, byłaś zdrowa, wesoła, szczęśliwa — wierzę, że i dziś tak samo dobrze układa Ci się życie.

Przyrzekłaś pisywać częściej, a tymczasem stwierdzam, że po staremu zaniedbujesz swoją przyjaciółkę — dlaczego? Popraw się koniecznie!

Całuję Cię, Maleńka Dziewczynko!

„Halo! Uściski dla „Maleńkiej Reri". Całą „Krainę" serdecznie pozdrawiam!"



Jedno z najnowszych zdjęć naszego dobrego znajomego, mianowicie p. Mieczysława Grzegorskiego.

KWIATY... KWIATY I... KROPLE ROSY

„Samotna Duszo", chłodzona „Kropelką leśnej rosy"
„Małą Konwalijką" zakwitnij w słonecznej dali —
„Kalino", cichutko śpiewaj znów znad Prosny,
Samotną, biedną skargą „Białej Uajali".

„Kochane Oczęta" „Gwiazdeczką" złotą patrzą,
„Banialuka" myśli dziś o egzotycznym kinie, —
„Irka", „Dusza", „Smutna", „Wisiu", czemu one płaczą?
„Różyczko" uśmiechnij się us ami, maczanym w winie.
„Dziewczynka z zaklętego młyna"

Bosą nogą chodzi po szkle srebrnej wody,
„Marzycielka" nierealna, kochana dziewczyna,
Chce „Poziomki z Podlasia", lub innej „Jagody".

„Gladiator".

ADRES!

„Smutny Marzyciel". Najpierw przyślij mi swój adres, a potem dopiero przyjmę Cię do „Krainy".

NIE MAM!...

„Złośnica". Jakże z tymi zdjęciami — nie mam do dziś ani jednego. Może masz zdjęcie z tego bajecznego kuligu — ha?

Pisz — czekam!

„Kraina" ma od naszej miłej członkini moc pozdrowień.

KIEDYŻ NAPISZESZ?!

„Smutna Ślązaczka". Najdroższa Moja! Rozumiem ja ból Twój wielki i szczerze Ci współczuję. Bardzo też często myślą staję przy Tobie i pragnę łzy Twoje otrzeć, smutek ukoić, rozpacz utulić — bolesne jest dla mnie przeświadczenie, że nie możesz jakoś podźwignąć się z tej zapamiętałej rozpaczy. Chciej pamiętać, że masz słabe serce i że nie wolno Ci pozostawać w stanie depresji duchowej bez szkody dla zdrowia.

Opanuj się, Kochana, pogódź się z wolą Najwyższego i popatrz na świat raz znowu nie przez zasłonę łez wiecznie żywych, lecz z uśmiechem promiennym i czystym, bo w niedawnych jeszcze łzach skąpanych. Taki uśmiech działa cuda i sam jest cudem największym, bo zwiastuje odrodzenie! Uczyń to dla mnie, która kocham Cię tak bardzo, i zacznij marzyć o takim uśmiechu, a nie wątpię, że już niedługo poczujesz go w sobie!

Czekam z niepokojem już od miesiąca na znak od Ciebie. — Kiedyż napiszesz?!

„Anetka III" i „Żymełka": Kochane, przepraszam za długie milczenie, ale w listach wytłumaczyłam, mocno całuję słodkie buzie i czekam odpowiedzi.

„Uśmiechnięta Wandulka". Za wiosenny uśmiech ślicznie dziękuję. Z powodu zajść na Śląsku Zaolzańskim, adres podany na przesłanej Tobie widokówce nadal aktualny. Może straciłaś odwagę? Ucałowanie!

„Nieszczęśliwa Ninusia". Jesteś entuzjastką. Sama jesteś śliczna i ogromnie milutka. Ale, ale, gdzie widziałaś moje zdjęcia? Pa!

„Wesoła Ślązaczko"! Dziękuję za spełnienie moich życzeń Bądź nadal wesołą, bo smutek zniechęca do życia. Chętnie bym Cię poznała, lecz obecnie oddaliłam się od Katowic.

„Starszej smutnej Eli", „Niezapominajce III", „Nelli", „Jagience" oraz „Samotnej Duszy" dziękuję za życzenia. Ja również życzę wszystkiego, co dobre i wzniosłe, aby nigdy smutek nie zakradł się do Waszych serc i abyście nie zaznały co to ból, smutek i czarna rozpacz.

Wszystkim „Krainiankom" ślę moc serdecznych pozdrowień. Jeżeli która ma ochotę, to proszę napisać, a z przyjemnością odpowiem!"

REFLEKSJE.

„Samotna Limbo"! A gdzież jest to słonko,
co Twoje oczy raziło pogodą?
Patrzaj, jak lato czas odwołał gromko,
jak mroźna zima urzeka urodą?

„Samotny Chorzów"! Twe poważne lico
mówi nam wiele o cierpieniach duszy.
Czytamy z niego, niby z ksiąg stronnicy,
ile Ci życie nie szczędził o wzruszeń.

Lecz czemuż właśnie w tej naszej „Krainie",
tak wiele cierpień, a szczęścia tak mało?
Czemu śmiech jasny w tłumie smutnych ginie,
jakby prócz smutku nic w nas nie istniało?

Czyż by dlatego uśmiecha się smutnie
„L.B. z Łaguszew" — dziewczę wdzięczne, miłe?
I „Błędny Ognik" smętny jest okrutnie,
Chociaż przedstawia „Tężyznę" i „Siłę".

Lecz spójrzcie na twarz opaloną „Mary",
albo na „Tusię Wesołą z Grudziądza",
Czy Wam się nie chce dotrzymać im „pary"?
Czy zawsze smutki w sercu Waszym rządzą?..

„Kalina".

URZĄDŹ SIĘ WYGODNIEJ!

„Chochlik". Zatem od stycznia zabrałaś się dzielnie do nauki — czy tak? Życzę Ci w niej powodzenia!

Dziecino, czy nie możesz się jakoś wygodniej urządzić, niech by Ci np. przynosili obiad do urzędu. Toż to nieznośna mordęga — takie chodzenie kilometrami po błotach, czy nawet zaspach!

Nie krępuj się i pisz jak najczęściej — z radością odczytuję każdy Twój list. Znam Twoją pracę i wiem, jaka jest przykra, zwłaszcza w takich zabitych wsiach!

Życzę Ci, abyś rychło już zdała potrzebny egzamin i otrzymała posadę w mieście.

Komunikaty:

„Sympatyczny Hebi". Za pamięć po koleżeńsku ściskam łapę.

„Wilniankę" i „Anulę" serdecznie pozdrawiam.

„Zawierucha". Może napiszesz, Ty koleżanko po fachu!

„Pell". Przyznałeś się w końcu w jakiej Warszawie byłeś?

Panu A. F. dziękuję za przemiłe listy."

NATURALNIE!

„Smutna Mariola". Przyjmuję Cię do „Krainy" z miłym życzeniem, abyś znalazła w niej dużo ciepła i radości!

Co do sprawy, o którą mnie pytasz, to zostaw ją na razie własnemu biegowi, z czasem przyjdzie uczucie pewności, i ono wskaże Ci najlepiej, jak masz postąpić.

List Twój naturalnie dosłałam!

Życzę Ci wiele radości i przechodzę do komunikatów:

„Jadwiga Limba"! Ładne są Pani utworki. Może zechce Pani dedykować mi któryś? Ściskam dłoń!

„Dziewczę z ludu II" i „Starsza Panna". Może zechcecie napisać do mnie? Przyjmijcie uściski!

„Marzycielu Mulforda", czy otrzymałeś mój list? O ile tak, to czemu milczysz?

Wszystkim członkom „Krainy" obojga płci serdeczne podrowienie i mocny uścisk dłoni!"

SĄDZĘ!...

„Mała Joan — Sokolica". Sądzę, że rok 39-ty będzie dla Ciebie łaskawszy, Dziecinko! Pragnę tego. A nasza „Rodzinka" również okaże Ci więcej serdecznego zainteresowania.

Posyłam Ci promienny uśmiech i oczekuję następnego listu!

WIATR OD MORZA

Szklane fale o brzeg pluskające,
w panoramie wieczornej zorzy
i kaszubską legendę szumiący
wiatr od morza —

A kiedy uderzy bryzgiem fal
w piaszczysty brzeg,
— dłonią swą złowiłbyś srebrny śnieg
Za koronkowych — podmuchem...
— — bo oto morze
śpiewa ci swoją pieśń,
posłuchaj:

To nie żali się wiatr,
nie szaleje huragan,
ni nawałnica w krąg, ani mgła —
to mewa niesie
pozdrowienie z Polski...
to dusza kaszubska
na strunach radości gra...

To skrzypią kutry, okrętów turbiny,
to śpiewa życiem
tętniące serce Gdyni...
w półkolistej obręczy zorzy...
to falami się modli
w odwiecznej legendzie,
wiatr...
od polskiego morza!...

Józef Baranowski.

POSTĘPUJ TAK ZAWSZE!

„Rena z Kujaw". Cieszy mnie Twoja dzielna postawa, jaką zachowałaś w bezpośrednim zetknięciu się z wielkim rozczarowaniem. Postępuj tak zawsze, Dziecino!

Życzę Ci wszystkiego najlepszego i zamieszczam komunikaty:

„Jadzio z kiosku". Pomyślności na nowej posadzie! Całuję Twą piękną buzię.

„Jagódko leśna"! Pokaż swą buzię w „Krainie". Przyjmij serdeczne pozdrowienia.

„Kropelko leśnej rosy", znam Ciebie nawet osobiście. Czy nie nazywasz się J. P. Ślę Ci pozdrowienia!

„Bogdo"! Skąd Ty mnie znasz? Napisz kilka słów, odpowiedź betonowa!

„Te-Em", czy byłeś w drugie święto Bożego Nar. w kinie na filmie „Książę X"? Przyjmij pozdrowienia.

„Młody Orle", przyjmij milutki uśmiech.

„Zygmuncie M.", zasyłam Ci dużo serdeczności. P. Mieczysławie Grzegorski, czy miałeś zmiar zostać artystą filmowym w r. 1931 — pozdrawiam.

CORAZ WIĘCEJ!...

„Mary". Widzę, że należysz do jednostek niesłychanie pracowitych i czynnych, a ja to lubię niezmiernie, więc siłą rzeczy i Ciebie Kocham coraz więcej.

Prawda, że miło jest stwierdzić, że są na świecie osoby tak uczynne i dobre, jak ta Twoja znajoma!

Sprawę administracyjną załatwiłam, a teraz przechodzę do komunikatów!

Może znajdzie się ktoś, kto by zechciał do starej panny i domatorki napisać?

„Szukający", jakoś nie mam odwagi pierwsza się odezwać. Może Pan to uczyni? A może mamy wspólnych znajomych?

Panie „Pell", i ja również lubię wycieczki i podróże, więc może Pan odezwie się do mnie, bo miło mi będzie coś o Pańskich podróżach usłyszeć.

„Halino Ślązaczko", odezwij się do mnie.

Czemu nie mam odpowiedzi na list „Gentlemenie Śląski"?

Panie „Armeńczyku", proszę do mnie skrobnąć parę słów!"

WRESZCIE!...

„Hermes". No, no — Przyjacielu! Wreszcie przypomniałeś sobie naszą „Krainę" i odezwałeś się. Czy po tym liście znowu będziemy musieli czekać przez wiele miesięcy na bodajże słów kilka?

Miałeś mi także powiedzieć, czy otrzymałeś odpowiedź na list, który dosłałam.

Życzę Ci wiele dobrego i oznajmiam „Krainiakom", że pozdrawiasz ich wszystkich oraz prosisz tych, którzy mieszkają w Bydgoszczy względnie okolicy, aby napisali do Ciebie.

CO NOWEGO?

„Aneczka". Rozumie się, że rada będę Twoim częstym listom, Kochanie! Tylko, czy dotrzymasz przyrzeczenia?

Co u Ciebie nowego? Jak się czujesz i w ogóle! Napisz mi wszystko!

Pseudonimu nie zmienię.

Pozdrawiam Cię i zamieszczam komunikaty:

„Ziuku z Bydgoszczy"! Bardzo Panu dziękuję za pozdrowienia, w zamian zasyłam promienny uśmiech i... czekam!!

Ślę jeszcze raz osobne pozdrowienia dla Pani Zosi i „Krainki", żeby o mnie pamiętały!

„Smutna i brzydka Irka". Dziękuję Pani bardzo za zainteresowanie się mną i proszę nadal pamiętać! Ślę serdeczne pozdrowienia!"

UŚMIECH JEST CENNĄ RZECZĄ

„Kartusz". To pięknie, że jesteś szczęśliwy i cieszysz się z życia, Miły Chłopcze! Twój uśmiech jest cenną rzeczą, która nieraz może Ci się dobrze przysłużyć.

List dosłałam Ci już dawno, na skutek nadesłanego w liście, a potem jeszcze na pocztówce — adresu.

Wierszyk ma temat przemiły, ale forma słaba, dlatego do druku zakwalifikować go nie mogę.

Życzę Ci wszystkiego najlepszego i oczekuję nowej wiadomości!

PSEUDONIM USTALONY

„Pan Twardowski". Więc pseudonim Twój już ustalony ostatecznie. Nie obraziłeś nikogo w swoim liście — bądź o to spokojny.

Sprawę prenumeraty załatwiła nasza administracja, owych reklamowanych numerów również!

Wierszyk oddałam Wujkowi do oceny.

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i życzę powodzenia w „Krainie".

OBIERZ INNY PSEUDONIM!

„Nina z Inowrocławia". Przyjmę Cię do „Krainy" z ogromną przyjemnością, ale obierz sobie, proszę, inny pseudonim, bo mamy już „Czarnego Hajduczka" i „Krainiacy" mogliby się mylić później co do osoby.

Pospiesz się — ja czekam!

WYOBRAŻAM SOBIE!...

„Kameleon II." Sprawę administracyjną załatwiłam już dawno — otrzymała Pani, sądzę wszystkie brakujące numery. Karnawał spędza Pani zapewne w Poznaniu — wyobrażam sobie, jak się bawisz i... gotowam pozazdrościć!

Życzę Pani dobrej zabawy i powodzenia, że hej!

Jedno mnie przykro uderza, mianowicie oświadczenie Pani, iż nie znalazłaś zrozumienia w „Rodzince". Czy być może? A może Pani za dużo żąda od „Krainy?"

Jakby nie było, ważne jest to, że pragnie Pani korespondować z Sympatykami pod czterdziestkę — prawda? Tylko, że takich nie ma w naszym gronie zbyt wielu — w porównaniu z większością „Krainy" jest ich garstka. Niemniej ta garstka winna okazać Ci zainteresowanie.

Życzę Ci tego i zamieszczam Twój komunikat: „Wszystkim Sympatykom „M. P." śle serd. pozdr. Szkoda, że nie znalazłam wśród Was bratniej duszy — może jeszcze znajdę? Czekam!"

DOSŁAŁAM NA ADRES!

Czytelniczka M. K. Na listy z dn. 12. 12. i 18. 12 donoszę Pani uprzejmie, że listy dosłałam. Za mile dla mnie pozdrowienia dziękuję i odwzajemniam je serdecznie!

WSZYSTKO W PORZĄDKU?

„Starsza Panna". Sądzę, że grypa i przeziębienie już przeszło — czy tak?

Nie mam ostatnio wiadomości od Pani, ale tak sobie myślę, że wszystko jest w porządku, skoro nie piszesz.

Gdzie spędziłam święta? U rodziców naturalnie! Gwiazdka to takie święta, które obowiązkowo trzeba spędzać wśród najbliższych krwią i sercem!

Pozdrawiam serdecznie i dziękuję za tę pocztówkę z bałwanem śnieżnym!



„Wiedźma z Glebry" na spacerze — czyżby na dowód swych czarnomagicznych umiejętności wyczarowała sobie upalny dzień?...

DWA DRZEWA

Sosna na skale
stoi wysoko
i marzy stale..
nie dojrzy jej oko.
I duma ona
biedna, stęskniona..

Chłodne jej puchy
śniegi rzucają
i białe dachy
w skrę odziewają.

Lody jej uściski
darują swoje,
Chmury swe błyski,
a woda — zdroje..

W pustyni martwocie
palma widnieje
i w słońca złocie
cała goreje.

Obszar ją pali,
powietrze dusi.
Ona się żali,
a cierpieć musi..

Dwa biedne drzewa!
oba stęsknione..
Jedno — omdlewa
drugie zmrożone.

Nie ma pomocy!
I przyjdzie dola,
kiedy bez mocy
zginiecie oba!

Eleonora.

BEZ WĄTPIENIA!

„Duży dzieciak spod lasu". Oj, oj, Dziecino! Jak będziesz zawsze tak przymilnie pisać, to zawojujesz mnie z kretesem. A i „Krainkę" zawojujesz bez wątpienia.

Życzę Ci samych radości! Pa!

Komunikaty:

„Serdecznie pozdrawiam Panią Ewę Gradowską z Gąbina, p. Józia Marciniaka z C. W. Panu Adamowi Czekalskiemu, i J. Baranowskiemu uznanie za piękne wierszyki!

Całusy „Burzy", „Marzence z Ameryki", „Chochlikowi", „S. 13", „Szukającemu". Może napisze kto z Was do mnie. Odpiszę na pewno!"

Z DNIEM DZISIEJSZYM

„Frasquita". Mam oba Twoje listy, Miła Dziewczynko, i donoszę Ci uprzejmie, że z dniem dzisiejszym należysz do naszej niesłychanie licznej „Rodzinki".

Cieszę się na ewentualną wizytę Twoją — postaraj się opanować ową nieśmiałość i koniecznie wstąp do redakcji!

Daję poniżej wyjątek z Twego listu, aby nasze „Krainianki" dowiedziały się jak bardzo zależy Ci na przyjaźni.

List Twój dosłałam.

A teraz ściskam Cię serdecznie.

„Tak bardzo, ale to bardzo pragnę znaleźć w „Krainie" kogoś, kogo bym polubiła całą duszą, kto byłby mi przyjacielem, ale to przyjacielem nie z nazniska, ale z duszy, z serca! Nie wiem, czy się ktoś taki znajdzie. Chwilami nawet wątpię w to, ale mimo to nie ustępuję i będę trochę czekała. Może przy przeglądaniu „Krainki", zatrzymają się czyjeś oczy na moim pseudonimie i może potem czyjeś ręce napiszą do mnie gdzieś z oddali list... O, jakże była bym zadowolona! Bo ja tak bardzo chcę polubić kogoś. Więc może istnieje gdzieś dusza do mej podobna, dusza szukająca szczerości i dobroci i może wytchnienia. Jeśli komu źle i smutno, jeżeli ktoś łamie się pod ciężarem życia, to proszę niech skrobnie do mnie słów niewiele nawet. Powiedz o tym, Kochana Pani Zosiu, „Krainiakom". Ja znam smutek, znam cierpienie i rozpacz, i wiem, jak źle czuje się człowiek dotknięty tymi stanami. Wydaje mi się, że świat cały czarny jest i zły i już nic nie ma dobrego na ziemi. Ale to nieprawda, nie, tak źle nie jest! Gdy boleść minie, miną smutne refleksje życia. A mija wszystko, więc i cierpienie także, bo czas robi swoje. Stare to prawdy i prawdziwe! Smucić się, rozpaczać, wcale a wcale nie warto!"

„Biała Uajali". Mało teraz piszesz, Kaju! Czyżby praca całkowicie Cię zaabsorbowała? Znam cię, Kochana, lepiej niż sądzisz. Widziałam Twoje fotki u p. A. Cz. Wyglądasz inaczej niż na tej, która była swego czasu w „Krainie". Szczególnie na tej w parku robionej, b. mi się podobasz! Jeżeli miałabyś ochotę napisać — adres u p. Zofii.

„Taki jeden" — Zainteresowałam się Panem. Szczere pozdrowienia.

„Te-Em" — Czy otrzymał Pan list z Z.? Uścisk dłoni od „autorki"?

Halo! Pan Adam Czekalski! Gdzie się podziewasz? Czekam dotąd, choć wiem, że na próżno. Polecony zapewne doszedł, bo nie ma zwrotu. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo chciałabym wiedzieć, jak się ułożyło Twoje życie. Czy naprawdę wróciłeś do N.? Dziś — żal mi, że mimo woli stałam się powodem rozczarowania „Czarnej Kropki". Ale wię-

cej w tym Twej winy, prawda? W najbliższym czasie wyjeżdżam na Pomorze na dłuższy okres czasu. Po przebytej chorobie nie czuję się szczególnie. Przyjmij serdeczne pozdrowienia od zawsze dobrze Ci życzącej „białej kropeczki".

CHĘTNIE!

„Szatynka i Wirtuozka z Gdańska". Mylicie się, Moje Miłe Dziewczynki, nie mam do Was żadnego, ale to żadnego żalu, a przeciwnie cieszycie się moją największą sympatią! Cieszę się, że w naszym gronie znalazły się również mieszkanki Gdańska. I proszę mi wierzyć, że w potrzebie chętnie będę Wam służyła zarówno radą, jak życzliwą opieką. Bardzo byłabym zadowolona, gdybyście zechciały przysłać mi swoje podobizny — czy mogę na to liczyć? Chętnie też przeczytam długi list z opisem Waszego życia w mieście, które powinno należeć do Polski.

Nie nadmieniłyście mi, czy znalazłyście już miłych korespondentów w szeregach naszych sympatyków. Pragnę, aby tak było!

Posyłam Wam serdeczny uśmiech i przedrukowuję komunikaty:

„Halo! Nino Harcerko! — Dlaczego w ogóle nie odzywasz się, czy może nie czytałaś naszego komunikatu z października 1938 r.? Jeżeli nie, to przeczytaj i odezwij się — dobrze? Na razie pa!

„Wit z Poznania". Czy otrzymałeś już nasz list? Pamiętaj, czekamy, na odpowiedź. „Diano"! Kim jesteś, mieszkasz w Gdyni i ukończyłaś WSH. w Gdańsku w r. 1938. Ja właśnie w tym roku też ukończyłam WSH. Jak przypuszczam, znamy się, ale nie mogę odgadnąć, kim jesteś.

„Pell", przyjmij pozdrowienia od nas. Może coś nam jeszcze napiszesz, tak nas ubawił Twój ostatni list.

Pozdrowienia zasyłamy dla „Amerykanina". Nic odpisujesz nam w ogóle, to nie ładnie, ale to nic nie szkodzi, na razie przyjmij pozdrowienia. Dalej dla „Włada" i „Szukającego". Wszystkim „Krainiakom" ślemy miłe pozdrowienia znad polskiego morza!"

NIECHŻE BĘDZIE!

„Wit". Słusznie, co już robić z takim uparciuchem! Więc niechże już będzie ten „Wit". Byle był taki miły, jak dawniej i byleby często pisał!

Posyłam Ci przyjazny uśmiech i zamieszczam Twój apel:

„Kochane, Kochani! Znanym, Nieznanym, Starym i Nowym, słowem wszystkim Sympatykom „Krainy szczerości i naszych trosk", wszystkim razem, jak i każdemu z osobna przesyłam dobre życzenia w roku 39! Niech ten rok stanie się dla Was naprawdę rokiem obfitym pod każdym względem. Chciejmy zapomnieć o pesymiźmie i zbytnim rozpaczaniu, a częściej pamiętajmy o „zdrowym humorze". Wasza wymiana myśli niech będzie pobudką do wiary w lepsze „jutro". Przeplatajmy ją humorem, na jaki każdego stać. W „Krainie" naszej nie brak ludzi wesołych, mają więc wdzięczne pole do popisu. Prośmy ich, aby swój humor przelewali na nas, (na mnie też) a wtenczas inaczej na świat spoglądać będziemy i wejdziemy w nową erę, w „erę radości z własnego życia". Oby tak było!"

JEGO APEL!...

„Serce śląskie". Przyjmuję Pana z przyjemnością do naszego grona, życzę powodzenia i zamieszczam apel:

„Halo! „Kraino Szczerości"! Wstępnym słowem pragnę Was serdecznie powitać, Drodzy i Mili „Krainiacy". Witajcie!

Śledząc uważnie Wasze Krainiackie życie, doszedłem do przekonania, że naprawdę „Kraina" jest bardzo towarzyska, miła, wesoła i pełna młodzieńczej werwy. Pozwalam sobie wnieść tę cichą i nieśmiałą prośbę do Was, „Krainiacy" — starzy bywalcy — byście i mnie raczyli przyjąć do Waszej rodzinki krainiackiej.

Od dłuższego czasu jestem stałym czytelnikiem „Moich Powieści" i bardzo je polubiłem, tak samo lubię Was, „Krainiacy", choć Was wcale nie znam, niemniej lubię panią Zofię, jako serce rodzinki krainiackiej. Więcej się nie rozpisuję, bo nie jestem pewien, czy ten hanys z zachodnich rubieży Polski zostanie naprawdę członkiem „Rodzinki". Gdy otrzymam wiadomość, żeście mnie naprawdę przyjęli, to Wam tak serdecznie po Śląsku podziękuję, tak „pioruńsko" Was uściskam. Zaciekawi Was też może i to moja śląska osoba, toteż po części się przedstawiam. Jestem sobie c. szatyn, 26 latek liczę (lecz proszę nie myśleć, że mam tyle lat na jednej stronie — nie! — na obydwu), jestem nawet zamożny. Wykształcenie też możliwe, myślę, że nawet wysokie (14 piętro pod słońce) nie myślcie czasem — żem żonaty — zachowaj Boże! — Jestem smukły jak topól śląska. A zresztą, gdy mnie przyjmiecie, to się więcej o mnie dowiecie, bo mą osobę znają w całym powiecie.

Podoba mi się „Szukający podchorąży", bo i ja nim kiedyś byłem, a może mnie zna ze szkoły pilotów podch. zaw. w Grudziądzu? Serdecznie go pozdrawiam!"

DLA CIEBIE!...

„Samotna Dusza". Nie rozumiem tego, że nikt nie zainteresował się Tobą, ale nie trać, proszę, nadziei, na pewno uczynią to wkrótce nasi mili „Krainiacy".



„Nell z Bydgoszczy" po długim spacerze wśród ścieżek i ścieżynek leśnych z przyjemnością zapadła w paprocie i liliowe wrzosy — było to zeszłorocznej jesieni

Nie mów, że jesteś dzieckiem nieszczęścia, a przede wszystkim nie wierz w to! Myśl, że i dla Ciebie słońce jasno świeci w lecie, ptaki śpiewają na wiosnę, owoce dojrzewają w jesieni, a śnieżyczki i kwiaty na szybach mienią się w zimie. A gdy tak zaczniesz myśleć, poczujesz się zadowoloną i radosną. Naprawdę!

Zamieszczam Twoje komunikaty:

„Samotna Włościanko". Zapytuję czy znalazła Pani już taką przyjaciółkę, o którą to Pani chodziło? Życzę dużo szczęścia i pomyślności. Serdecznie Pania pozdrawiam oraz zasyłam pozdrowienia od mego brata oficera.

Panu A. J. Piotr. Bardzo przepraszam. Jestem ciekawa, czy w tym roku zawita Pan w rodzinne strony? Zasyłam Panu pozdrowienia!

„Elem n. Notecią" życzę dużo szczęścia!

Dla „Młodego Orła" dużo, dużo pomyślności!

„Zbłąkany Chłopiec", czy w życiu jest Pan również taki skupiony, jak na fotografii?

„Zefir Zachodu". Dziwię się, że Pan nieotrzymał mego listu. Pisał Pan, że Panu też smutno na świecie, więc „Zefirze Zachodu" przyjmij mój siostrzany uścisk dłoni.

„Jaśko Sokół". Dziękuję Panu za te kilka słów pociechy. Czy mieszka Pan jeszcze w G. na ul. P. Początek liter imienia Pańskiego i nazwiska J. M. — prawda? Czekam na obiecany wierszyk: „Dlaczego" i czy jeszcze długo każe mi Pan czekać".

HALO, HALO!

„Ta „Krysia — leśniczanka". Zasyłam komunikaty: Panią Murawską i Państwo Niestępskich z Przasnysza pozdrawiam serdecznie! A także Państwo Kempów z Wielunia!

„Haszka II". Kartę wysłałam. Czekam listu od Ciebie. Całuję Cię.

„Twoja Szarotka". Liścik skrobnęłam. Całuję Twą słodką buzię.

„Rozbójnik". Ktoś Ty! I gdzie mieszkasz? Może w Lidzbarku? Napisz list.

„Dziewczę z Puszczy". Pozdrawiam i całuję!

„Zielonooka Iruś". Kochanie, przyślij, a prędko! Odpowiem na pewno. Pa!

„Bursztynowe Serduszko". Przyjmij moc siarczystych buziaków. Pisz. Pa!

„Skowronku". Skrobnij pierwsza. Odpiszę. Całuję Cię.

„En-ka". Najgorsza niepewność. Niech się Pan szybko namyśli. Może warto?

„Młody Rolniku"! Szczere pozdrowienia i przyjazny uścisk dłoni przesyłam.

„Belfer". Proszę skrobnąć liścik. Tylko szybko — zgoda? Odpowiem. Jestem... Nie! Napiszę dopiero w liście. Ślę moc pozdrowień i wagony śmiechu. Czekam!

„Wit z Poznania". Proszę przyjąć moc serdecznych pozdrowień. Pa! Serdecznie pozdrawiam Wszystkie i Wszystkich „Krainiaków"!

SKUTECZNY ŚRODEK NA ASTMĘ!

„Zymełka". Odpisuję już na resztę zaległych Twoich listów, Droga Dziecino! Naturalnie, że o zmianie adresu powinnaś mnie uwiadomić — jakże bym Ci dosyłała listy?

W sprawach ogłoszenia uwiadomiliśmy Cię już specjalną pocztówką, więc tego nie będę tu już poruszała.

Raduje mnie fakt, że skrzętnie składasz numery „Moich Powieści", a potem oprawiasz roczniki. Prawda, że niejedną pożyteczną wskazówkę można znaleźć w takim roczniku?

Środek na astmę podaję Ci poniżej. A teraz przyjmij moje serdeczne pozdrowienia!

Komunikaty:

„Marylko i Zoniu", dziękuję wam, kochane dziewczynki, za miłe zdjęcia i wszystkie dobre życzenia. Nie zapomnę o Was! Nasze „siostrzane kółeczko", nie rozbiegnie się, prawda?

„Zabłąkany Chłopiec". Co się z Panem dzieje, tak się postępuje? Czy taki zwyczaj u Pana? Za wierszyk „Śnieżynkę" przesyłam specjalne uznanie. Podoba mi się ogromnie. Jest w nim dużo prawdy.

„Smutna Ślązaczko", współczuję serd. Twemu nieszczęściu. Dziękuję za list i życzenia. Proszę się nie gniewać, lecz wkrótce odpiszę. Zdzisko B., czy już zdecydowałaś się przystąpić do naszej „Krainy"? Dlaczego się tak długo namyślasz?

P. A. Wolarskiego z Chrośny, proszę o zwrot fotki. Ja też odeślę.

„Litwinko", w Wierzchosławicach nie mieszkam, dlatego się nie znamy.

„Sportmenko z Kujaw" i „Samotna Włościanko", dziękuję za miłe pozdrowienia. Szczerze się odwzajemniam.

„Sportsmenko i Reniu z Kujaw", niedługo oddalę się stąd do swej rodzinnej miejscowości — Grodu Lecha!

„Kalinie" i „Irusi z Wołynia" składam gratulacje za piękne wierszyki.

„Armeńczyku" przyjemnie by mi było gdyby Pan do mnie pisał. Za miłe pozdrowienie serdecznie się odwzajemniam.

„Hr. Ulsen", gdzie Pan przebywa, gdyż zdaje się, iż wiem.

„Marzyciel Mulforda". Podobają mi się zamiary, które na wzór „Robinsona" pragnie Pan urzeczywistnić.

„Smutna Kazienko", co porabiasz?

Lekarstwo na astmę

Pić herbatę z niżej podanych ziół 3 razy dziennie po filiżance, albo częściej po łyżce stołowej:

a) biedrzeńca, mszakowa, bluszczyku, glistewnika po 20 g i siemienia 10 g.

b) trzewuli 20 g, włosków Matki Boskiej 20 g, pierwiosnków 10 g, liści miotowych 10 g, słodkogorzy 5 g.

c) pomornika 30 g, liści prawoślazu 20 g, korzenia prawoślazu 20 g, kwiatu malwy 10 g, lukrecji 5 g.

Jedną z trzech podanych herbat wybrać i używać przez czas dłuższy.

JEST POWÓD

„Koralowe usta". Miły jest ten Twój list, kochanie! I miłe jest to Twoje „dlaczego, dlaczego..." Ano, dlatego, że jesteś tam w mundurku szkolnym — czy rozumiesz już teraz „dlaczego"? No, wreszcie!

Kochana Moja, nie zapomniałam o Tobie, ani reszta „Krainiaków", sądzę! Gdyby jednak było inaczej, to monituję ich niniejszym do szybkiego okazania Ci swej sympatii.

Nie czekałaś tym razem długo na odpowiedź — prawda?

Wujek Janusz dziękuje Ci za pozdrowienia i przesyła serdeczności.

Komunikaty.

„Halo! „Krainiacy", dlaczego nie piszecie do mnie? Czy zapomnieliście?

„Słoneczna Jasieńka". Mój Ty złoty promyku, pamiętam o Tobie zawsze i kocham Cię niezmiernie!

„Zew" — Zbychu! Dlaczego nie odpisujesz? I gdzie jest obiecana fotka? Czy mój list był tak niemiły, że nie zasłużył na odpowiedź? Postąpiłeś bardzo brzydko!

„Szyderca". Czy ze wszystkiego i wszystkich szydzisz?

„Jadźka z kiosku". A może Ty jednak pierwsza napiszesz? Mam tremę. Bardzo bym się cieszyła. Na razie pa! Czekam na liścik!

„Dziewczęciu z dworu K. K.", „Indiance", „Pellowi", „Nieznanemu Cyganowi", „Zbłąkanemu chłopcu", „Fakirowi" i wszystkim ze Lwowa, serdeczne pozdrowienia, z prośbą o listy zasyłam"!

POCZEKAM!

„Aneri". Przyjmuję Cię, Maleńka, do naszego grona i życzę, abyś w nim znalazła tyle sympatii ile jej Ty sama masz dla „Krainy"!

Zdjęcie Twoje ładniutkie, ale poczekam aż nadeślesz mi takie, w którym będziesz Ty sama bez tego ogródkowo-jesiennego tła. Czy zgoda?

Pozdrawiam Cię serdecznie i zamieszczam Twoje komunikaty oraz apel:

„Halo „Krainko"! Zostałam zaliczona w poczet „Rodziny". Dlatego też proszę Was, niech kto napisze do mnie, a dostanie żelbetonową odpowiedź!

„Wiedźmo z debry". Chciałabym, abyś napisała do mnie, może zdecydujesz się?

„Awiato"! Lubi Pan jeździć rowerem, może odwiedziłby Pan moje okolice? Proszę napisać, to podam mój adres.

„Stello"! Moja odpowiedź będzie nie tylko „murowana" lecz nawet „żelbetonowa", a żelbeton jest pewniejszy od muru, dlatego proszę Cię napisz do mnie. Dobrze?

„Krupko"! Mieszkamy niedaleko bo Ty na Polesiu a ja na Wołyniu, napisz do mnie, może kiedyś zobaczymy się.

„Ira II". Jesteśmy imienniczkami, może będziemy korespondować ze sobą?

Halo, „Marzycielu Mulforda"! Napisz do mnie!"

ROZUMIEM I OCENIAM!

„Orlica". Cieszy mnie niewymownie, że wyjaśniło Ci się już wszystko. Chciałaś mi powiedzieć coś bardzo miłego i udało Ci się to w zupełności — list Twój jest tym miłym już nie słowem, a masą miłych, przemiłych słów!

Owszem, umiem pamiętać sprawy, które zasługują na pamięć i dlatego pamiętam wiele momentów poruszonych przez Ciebie w listach do mnie. Rozumiem i oceniam wysiłek, jaki ponosisz stale i niezmiennie i wzrusza mnie Twoja dobra wola w tej pracy syzyfowej. Życzę Ci w niej wytrwania i niegasnącego zapału.

Komunikaty zamieściłam już dawno.

Całuję Cię i pisz!

TECZKA wuja Janusza

BĄDŹ ŁASKAWSZĄ...

„Czarodziejka". Owszem, udały się trzy wierszyki — ten, który został już wydrukowany, przemiły utworek p.t. „Garstka wspomnień" i „Dziarski apel" — „Dalej w góry!"

Łączę dużo miłych pozdrowień i... bądź łaskawszą, „Czarodziejko", dla swego starego przyjaciela. Piszesz tak mało i urzędowo. Co na to wpłynęło? Czy może wina leży po mojej stronie?

PROSZĘ O DALSZE UTWORY!

„Biały Wrzos". Za nadesłane życzenia bardzo serdecznie Pani dziękuję. Tak samo za ogromnie miły i ujmujący liścik.

Wiersz — „Nie przysyłaj mi róż...", dobry! Proszę o dalsze utwory i dalszą korespondencję ze mną, tajemniczy i bardzo miły, „Wrzosie"!

NIE PRZYSYŁAJ MI RÓŻ...

Odszedłeś przecież, więc pocóż te róże,
Które mi co dzień przysyłasz ranιutko?...
Ach, szczęście nasze musiało być duże,
Więc trwało dlatego tak krótko.
Odszedłeś... pamiętasz? z uśmiechem na ustach,
A wkrótce, zdaje się w kilka dni potem,
Pisałeś: „Przebacz, to dziewczyna pusta,
Daruj mi błąd mój. Przed moim powrotem
Napisz słów kilka, moja ty kochana!..."
I ja, com dotąd zawsze roześmiana
Kroczyła prosto, nie znając cierpienia,
Ja zapłakałam... z bólu, czy z wzruszenia?
Milczącą jednak odpowiedź ci dałam —
Chciałam zapomnieć i... już zapomniałam!
Trudno... ach, może ja źle cię rozumiem,
Przebaczam wszystkim, lecz tobie nie umiem!
Więc nie pisz listów, nie przysyłaj mi róż,
A miłość twoją u stóp innej złóż....
Bo ja już wrócić bym nie potrafiła —
Poszukaj sobie innej... pięknej, miłej.

„Bały Wrzos".

DALEJ Z GÓRY!...

Hejże, w górę brnę po śniegu,
Choć się męczę snadnie!
Stanąć na czas chcę w szeregu,
Nim w świat hasło padnie:

Dalej w góry wszyscy rzędem!
Droga równa, śliska,
Sanki jadą pędem, pędem,
Śnieg spod płozów pryska!

Za sankami sanki gonią
Z krzykiem i hałasem;
Długo echem głosy dzwonią,
Aż zginą pod lasem.

Mróz policzki ostro szczypie,
Ale ruch zagrzewa!
Śnieg płatami sypie, sypie,
Srebrzy krzaki, drzewa.

„Czarodziejka".

WEDŁUG ROZKAZU!

„Irusia z Wołynia". Przede mną leżą 4 listy Pani, w tym jeden pisany przy współudziale „Ariany" — pisany, „by się mocno uśmiać". Według rozkazu! Czytając, śmiałem się szczerze, a potem jeszcze raz czytałem go głośno i śmiała się ze mną cała redakcja, t. zn. wszyscy panowie redaktorzy i panie redaktorki, z p. Zofią na czele. Dziękujemy za tę wesołą, uśmiechniętą szczerą radością chwilę!!!

Trzy wiersze Pani p.t. „Nowy Rok", „Trzej królowie" i „Na Gromniczną" — zostały już wydrukowane. Poza tym czekają w teczce na swoją kolej jeszcze trzy wiersze — „Życie", „Chwila szczęścia", i „Na narty". Życzę Pani dalszego natchnienia.

Co do swego sąsiada z A. ma Pani rację. Banały i poza tym smutna rzecz — brak poprawnej ortografii. Poecie nieraz dużo uchodzi, ale nie wolno mu popełniać błędów ortograficznych, choćby to czynił dla ratowania pięknego rymu. Zostawiam jednak tę sprawę na uboczu i przechodzę do tego listu, w którym jest mowa o mnie. Nareszcie znalazła się Sympatyczka, która trochę łaskawiej pomyślała o moim wyglądzie zewnętrznym, niż poprzednie.

„Drogi Wujku! Rysować nie umiem, ale za to „zrobię Cię, słowami":

Jesteś wysoki i młody, 30—32 lata. Masz 180 cm wzrostu, dobrą budowę, piękne, marzące oczy, wysokie czoło, doskonale skrojony garnitur i modny krawat. Pachniesz makami kalifornijskimi lub Chyprem. Widzę Cię siedzącego przy pięknym biurku, pełnym naszych utworów. Obok „Egipskie Luksusowe" i pudełko pomadek czekoladowych..."

I cóż powiedzą na powyższą charakterystykę te Sympatyczki, które zrobiły ze mnie starego śledziennika, czupiradło i wiecznie kawęczącego bambosznika???

ŻYCIE

Nie płacz, gdy los cię pokrzywdzi srodze,
Bo życie różne zatacza kręgi
I na cierniami usłanej drodze,
Często się wiją różane wstęgi....

Szczęście, to tylko — senne marzenia,
Na chwilę błyśnie — i pędzi w dal,
Więc porzuć chore swe urojenia
I stłum bolesny żal...

Pamiętaj — życie trwa krótko —
Rozpogódź czoło, choć gnębi się troska
I szepnij tylko z pokorą cichutką,
„Że tak być musi — taka wola Boska!"

Irena Maria Wójcikowska.

POST SCRIPTUM

Sławkowi.

...Wiesz, chciałbym tak bardzo do was wrócić, ale nie mogę,
Znów pola zobaczyć nasze zalane słońcem tuż za ogrodem
I ten krzyż sczerniały! Powiedz, czy wciąż patrzy na drogę.
Z tym uśmiechem, jakby chciał wszystko przygarnąć i ziemię i wodę?...

Nieraz, zapatrzony, widzę, jak fale myją lądu brzegi
I myślę, że tam są moi bliscy — ma rodzinna chata... —
Pewnie teraz sad przed oknami osrebrzyły śniegi
I stawy ścięte lodem w najsrebrzystszych stoją szronu kwiatach?

Patrząc na drzewa, na tutejszej flory cudne kwiaty,
Wiem przecież, że nie nasze nad wodą białe kwitną lilie,
I słońce niby tak samo zalewa się szkarłatem,
A jednak inne... i jakieś obce są tutaj Wilii!....

Wiesz, bracie, jak będziesz wracał drogą od kościoła,
To wstąp do chaty ojca, pochyl się do stóp mej matki!
Powiedz jej o tęsknocie — niech pisze o lasach, o siołach,
Niech przyśle suche klonu liście i dwa białe w kopercie opłatki.

„Gladiator".

JAK ŻYĆ?...

Jak żyć — pytam —
By radość czuć,
By szczęście snuć
U życia bram?...

Czy trzeba znać
Tajemniczą moc?
Czy ciemną noc
Za jasną brać?

Czy w złudzie żyć,
Czy prawdę kraść?
Czy serce kłaść
Do snu i śnić?

„Kalina".

WOLĘ UTWORY WIERSZOWANE, NIŻ PISANE PROZĄ...

„Kalina". Z przyjemnością stwierdzam, że jest Pani jedną z najwięcej niestrudzonych współpracowniczek mej „Teczki". Przed chwilą przestudiowałem dziewięć wierszy Pani i dwie nowele — „Matura" i „Głos natury". Stanowczo więcej wolę wierszowane utwory Pani, niż pisane prozą. Te ostatnie posiadają wprawdzie dobry i ciekawy temat, jednakże słabą formę. Proszę, niech Pani porówna swoje nowele z nowelami innymi, zamieszczanymi w czasopismach, a przyzna mi Pani rację.

A teraz wymienię Pani tytuły wierszy, przeznaczonych do druku: „Refleksje", „Jak żyć?...", „Do celu!", „Cierpliwość" i „Śmiech".

Czy zawsze bawi się Pani tak wesoło, jak w noc sylwestrową? Co za skromność pisać, że „miało się powodzenie, ale tylko dlatego, że na balu było mało pań!..." No, no! Właścicielka takiej miłej buzi, jaką Pani posiada, nie powinna mówić o sobie w ten sposób. I tak nikt nie uwierzy. Trudno! Ja, ani myślę.

MOŻE UDA SIĘ...

„Zaira". Wiersze Pani są pisane z talentem, tylko... dlaczego w nich tyle pesymizmu? Może uda się Pani pisać również na pogodną nutę?

Utwór — „Zima" — został wydrukowany w pierwszym numerze (b. r.) „Mojej Przyjaciółki". Do „Moich Powieści" pójdą: „Życie", „Tak tęskno mi...", „Jak ciężko...", „W pogoni za szczęściem", „Zew morza", „Słoneczko", „Daleko hen..."

Kończąc, zasyłam Pani miłe pozdrowienia!

W BÓLU

Dziś serce me w bólu szamoce się, rwie,
Jak w klatce ptaszyna schwytana,
Z nadmiaru rozpaczy rozpęknąć się chce —
Odeszłaś, jedyna, kochana!

Odeszłaś bez słowa, nic nie napisałaś,
Odeszłaś, jak radość w rozterce,
Dziś wiem tylko jedno, że mnie nie kochałaś,
Że dla mnie nie miałaś serca.

I tylko się dusza szamoce i rwie,
I boli, tak bardzo mnie boli...
W tym straszliwym bólu jedno jeszcze wie,
Że skona powoli... powoli...

H. Justyńska.

O, CHWILE...

O, chwile bezsilnej i głuchej rozpaczy,
Chwile samotnych godzin wieczoru,
O, słodkie chwile, lecz bez koloru,
O, gorzkie chwile, gdy nadzieja płacze!...

Wy przyjaciółki jesteście i siostry,
Każdego życia dobre powiernice,
Wam się to skarżą nieśmiałe dziewice,
Gdy serca przeszywa bólu miecz ostry.

O, chwile, co w serca nabrzmiałe patrzycie,
Idące żałobnym smutnym korowodem
Chwile mrożące uczucia ludzkie lodem,
O, chwile... u was pustką nieraz jest życie.

„Wiedźma z debry".

JESZCZE CHWIL KILKA...

Jeszcze chwil kilka, a okręt ruszy,
W bezbrzeżną przestrzeń, na grzbietach fal
I pozostawi w mej biednej duszy,
Za marynarzem, okrutny żal.

O, już przychodzi chwila rozstania,
Już słychać syren straszliwy dźwięk...
I jeszcze tylko wzrok pożegnania
I ten rozpaczy ostatni jęk!...

O, już się okręt zachwiał i płynie —
Serce me z piersi, za nim się rwie
I w srogim bólu, prawie że ginie,
— A okręt dalej i dalej mknie!...

Zniknął mi wreszcie w sinej oddali —
Próżno posyłam swój łzawy wzrok —
Morze mi tylko gra szumem fali...
I na tęsknotę zarzuca mrok.

Eugeniusz Halman.

GDY MIŁOŚCI PRZYJDZIE KRES...

Najgorzej bywa, gdy się kończy miłość...
Gdy wygasa w sercu dawnych uczuć żar
Życie się staje szare — nieciekawe,
Jakby z miłością znikł z życia czar.

Jak smutno bywa — gdy ginie miłość,
Gdy dwoje serc przestaje razem bić...
Gdy już umarły wszystkie sny, marzenia,
Jak wtedy trudno razem choćby chwilę być.

Na ustach mrą niewyszeptane słowa...
Dłuży się czas, jak noc bezsenna,
I przepaść dzieli dawniej bliskie dusze,
Miłości historia niezmienna.

Cisza tak ciężka, brzemienna cierpieniem,
Żalem, goryczą niewypłakanych łez,
Cisza bolesna — cisza konania...
Gdy najpiękniejszych uczuć nadszedł kres.

„Siboney".

W POGONI ZA SZCZĘŚCIEM.

Goryczą przepojone słowa
Na wargi cisną się same...
Często o szczęściu słyszę mowę,
Lecz dla mnie jest ono nieznane.
Szukam go wszędzie,
Lecz znaleźć nie mogę —
Pytam o drogę do niego...
Odpowiedź zawsze jednaką słyszę,
Że ominęło każdego.

„Zaira".

— Głupia dziewczyna — myślał o Ernie z pewną dozą podrażnienia, jadąc konno przez las.

— — — — — —

W Ustroniu zastał całą rodzinę na ganku. Pani Namielska, siedząc w trzcinowym fotelu, pracowicie haftowała serwetę.

Na stopniach ganku siedziały dzieci osowiałe, bez humoru, milczące.

Bożenka trzymała na kolanach przysłaną przez niego lalkę i spoglądała na nią melancholijnie.

Jurek siedział z głową opartą na dłoniach i patrzył przed siebie chmurnie; usta miał zacięte w linię pogardliwą. Z całej jego postaci biło przygnębienie, rozżalenie, walczące o lepsze z dumą i uporem.

Na widok barona żadne z dzieci nie poruszyło się.

— Kara... coś przeskrobały — pomyślał z rozbawieniem, zeskakując z konia.

Sam zaczepił uzdę za sztachetkę i podszedł do ganku.

— Cóż to dzieci w takim złym humorze? — spytał witając się z panią domu.

— Jurek był dziś niegrzeczny i za karę nie wolno mu się bawić otrzymanymi zabawkami — objaśniła mu.

Baron spojrzał na chłopca.

Jurkowi usta drgnęły i wargi wygięły się jak do płaczu, oczami zamrugał nerwowo.

Widać było, że walczy ze łzami.

Baronowi żal się zrobiło dziecka.

— Cóż on takiego zrobił? — spytał półgłosem.

— Nie odrobił lekcji, a gdy mu babcia zwróciła uwagę, zachował się względem niej hardo i nieopanowanie.

— I za taką błahą rzecz miała pani serce tak go ukarać?

Oburzyła się, oczy jej zabłysły.

— To nie jest błaha rzecz. Jeżeli mężczyzna nie nauczy się od małego dziecka obowiązkowości, opanowania, uszanowania dla kobiet, to co z niego wyrośnie! Brutal, samolub, zawalidroga — uniosła się — szkodliwy dla najbliższych i dla wszystkich.

Chłopiec słuchał słów matki, nie rozumiejąc ich treści. Ostry ton tej mowy, podniecenie matki i gniewnie błyszczące oczy, przygnębiły go.

Nie płakał jednak. Hardością postawy starał się zatrzeć przygnębienie, ale było ono aż nadto widoczne.

Baron z uśmiechem przyjaznym podszedł do chłopca, ujął go za rękę i zmusił tym ruchem do wstania.

— Chodź chłopcze, przeprosimy mamę i babcię...

Dłoń dziecka ścisnęła z wdzięcznością rękę mężczyzny.

Serce barona zalała bezgraniczna czułość. Miał ogromną ochotę ująć chłopca w ramiona i przygarnąć go do piersi. Nie uczynił tego z obawy śmieszności. — Roztkliwiać się tak nad cudzym dzieckiem!

Podszedł z chłopcem do pani Namielskiej. Podniosła na syna rozżalone oczy, lecz uraza jej nie wytrzymała próby, jaką był dla niej błagalny wzrok dziecka. Objęła go za szyję i przytuliła do ramienia.

— Nie będziesz więcej odzywał się do babci tak niegrzecznie?

— Nie — wyszeptał cichutko.

— A teraz chodźmy do babuni.

Nie trzeba było chodzić, bo weszła właśnie na ganek. Baron stanął przed nią, chyląc głowę w ukłonie.

— Chcemy przeprosić babunię — rzekł z uśmiechem.

Staruszka położyła rękę na głowie wnuka na znak przebaczenia. Chłopiec zdjął ją z włosów i przyłożył do niej swe drżące wargi.

— A czy mogę się pobawić okrętami? — spytał.

W głosie jego brzmiała gorąca nuta prośby i zarazem lęk przed odmową.

— Możesz...

„DLACZEGO MNIE NIE LUBISZ?"

Chłopiec zniknął w drzwiach jak strzała. Za nim podążyła dziewczynka, ściskając kurczowo pod pachą lalkę. Baron usiadł między obiema paniami.

— No i warto było psuć sobie nerwy, a dziecku humor? — zwrócił się do pani Namielskiej z wymówką.

Młoda kobieta ściągnęła brwi. — Dziecko musi być karane...

— Gdybym był ojcem Jurka, nie pozwoliłbym pani karać go za takie zasadniczo drobne przewinienie. Zabawił się, zapomniał o lekcjach, podrażniony poczuciem winy odpowiedział niegrzecznie, nie zastanawiając się nad tym, co mówi. Tak, gdybym był jego ojcem...

— Nie, proszę pana, to nie była rzecz drobna — odparła ona. — I, na szczęście, nie ma pan żadnych do niego praw.

— Żałuję bardzo, że ich nie mam — odpowiedział prosto.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

JAN FELIKS PŁÓCIENNIK

Pesymista

NOWELA

Było to zimą, około godziny piątej z wieczora, kiedy słońce pochylało się ku zachodowi, białe płatki śniegu opadały na ziemię, tym milsze, że po mroźnym dniu śnieg był wielce pożądany dla tych, którzy syci i ciepło ubrani, pragnęli użyć jazdy na saniach.

Parkiem „Moniuszki" w Poznaniu, w kierunku ulicy Fredry, szedł młody mężczyzna, nędznie ubrany, rozglądając się smutnie na wszystkie strony.

— Po diaska urodziłem się jako syn stolarza i teraz muszę cierpieć głód...? — rzekł sam do siebie bezrobotny Piotr Szyszka.

Po chwili zrozumiał jednak jakim paradoksem była jego myśl, wypowiedziana półgłosem, gdyż po tym, mimo przygnębienia, roześmiał się i rzekł:

— Oj, Piotrze, Piotrze! Jak widzę, to już całkiem ci „ptaszki na mózgu grać zaczynają".

— Eh! — mruknął. — Człowiek naprawdę nie ma nic z tego życia...

Śnieg teraz opadał z zdwojoną ilością, zasłaniając horyzont.

Piotr Szyszka podniósł kołnierz wytartego płaszcza i pogrążył się w głębokiej zadumie.

— Tak to już jest, że jak masz forsę, to masz wszystko! Ta przeklęta „mamona" jest silniejszą nieraz od prawdziwych uczuć, od siły fizycznej — i w ogóle — szkoda mówić — od wszystkiego. Nawet od samego diabła!

— Ja już niczego dobrego od życia się nie spodziewam — pomyślał mężczyzna.

Tak jest, drodzy Czytelnicy, Piotr Szyszka stał się pesymistą. Miał zresztą ku temu pewne powody. Posłuchajcie, jak to było.

Mając lat siedem, mały jeszcze wówczas Piotruś, stracił matkę, a dwa lata później, wyjątkowo bardzo dobrego ojca. Żal po rodzicach przeminął dość szybko, usposobienie bowiem jego było z natury wesołe. Dlatego też nie wiele robił sobie z krzywd ludzkich potworów, jakich miał możność w swym sieroctwie poznać.

Nie spodziewał się zatem od ludzi niczego dobrego, gdyż wiedział, że „prawdziwie dobrych" śmiertelników — jest bardzo mało. A przynajmniej on sam — dotąd takiego nie spotkał.

Gdy skończył piętnaście lat, dostał posadę w wielkiej firmie samochodowej, jako chłopiec do posyłek biurowych. Mając jednak niezwykle zdolności, zajął tam później wolne miejsce „książkowego". I z tej pracy wywiązywał się aż nadto sprawnie. Nie zaskoczy przeto więc Was, że nasz bohater objął nawet z czasem w tejże firmie stanowisko kierownika.

Ale szczęście nie trwało zbyt długo. Piotr Szyszka został zwolniony z pracy z powodu likwidacji firmy. Obecnie od 2-ch lat jest bez pracy i zdany na łaskę i niełaskę losu.

Szczególnie dziś odczuł Piotr „ścisk" i beznadziejność sytuacji. Od rana nie miał jeszcze nic w ustach, gospodyni chce go wyrzucić z wynajętego mieszkania; wierzyciele na gwałt żądają zwrotu pożyczonych pieniędzy.

— I co ja mam zrobić?... — stawiał sobie pytanie nasz biedny, godny współczucia, Piotr Szyszka.

A najbardziej natrętnym wrogiem jego — były... własne kiszki... Szyszka nieraz trwożnie oglądał się wokoło, czy czasem ktoś nie usłyszał, jak „mu marsza grają..."

Piotr Szyszka nie chciał myśleć o głodzie; ale... „głodnemu chleb zawsze na myśli".

I idąc tak — rozmyślał: co też mu przypominają kiszki tym ciągłym warczeniem, czy też stukotem.

— Werble?

— Nie!

— A może przelewającą się wodę?

— Też nie!

— Już wiem! Przypomina mi się scena, kiedy to ojciec zakupiwszy kosz jabłek na zimę, wysypywał je z kosza do specjalnego kuferka.

Nozdrza Piotra Szyszki poruszyły się elektryzująco — tak, jak gdyby chciały przeniknąć minioną przeszłość i uraczyć się zapachem dojrzałego owocu.

A przecież już tak dawno nie miał tego „luksusowego" pożywienia...

— E, co tu gadać, kiedy nie miałem już dawno w ustach obiadu, a dzisiaj nawet — starej skórki chleba... — pomyślał smętnie młodzian.

Nagle przerwał rozmyślania i obejrzał się, gdyż usłyszał za sobą krzyk — i to jak mu się zdawało — kobiety.

Podniósł głowę, spojrzał bystrym wzrokiem przez zasłonę opadającego śniegu i ruszył naprzód.

Jednym susem znalazł się przy obdartym mężczyźnie, który usiłował wyrwać torebkę młodej, pięknej i elegancko ubranej kobiecie.

Napastnik rzucił torebkę i zatrzymał się. Podniósł głowę, spojrzał na tego, co go złapał na gorącym uczynku i nie myślał puścić, i rzekł krótko — błagalnie:

— Puść mnie... jestem głodny... Chciałem coś kupić dla żony i dziecka, które przecież nie może zrozumieć, że chleba dać mu nie jestem w stanie...

Oczy napastnika rzucały spojrzenia pełne lęku i przerażenia, a przy tym wyczytać można w nich było tyle bólu, zniechęcenia, prośby!...

Piotr Szyszka zastanowił się... Przecież i on był głodny, a nie posunął się tak daleko...

— „Ale żona, dziecko, które nie potrafi zrozumieć, że chleba dać mu nie jestem w stanie" — brzmiało mu w uszach...

I oto palce Piotra Szyszki rozluźniły się, a usta wyszeptały:

— Uciekaj!

Nagle przypomniało mu się, że przecież „ona" — to jest ta, którą wybawił z nieszczęścia, jest tuż przy nim...

Obejrzał się za siebie.

Młoda kobieta stała w miejscu i spoglądała na niego z uznaniem i wdzięcznością. Piotr uważał za stosowne — wyjaśnić sytuację:

— Ja go puściłem... On to zrobił z głodu... ma żonę i dziecko... Ja to... ja jestem...

Wtem zalał się rumieńcem i nie dokończył. Zapomniał, że ma przed sobą młodą i piękną kobietę.

A przecież był takim romantykiem...

— Och! jakiś ty osioł, dureń, głupiec skończony... — przeklinał się w duchu.

Piękna pani zaś wyciągnęła do niego swą małą rączkę i rzekła:



Na skraju puszczy

— Dziękuję panu, panie Piotrze. — Tłumaczenie pana jest zbyteczne.

Piotra jak by kto obuchem topora uderzył. — Skąd ta kobieta zna jego imię?

— Pani mnie zna!?

— Znam pana, panie Piotrze. Czy naprawdę ma pan taką słabą pamięć i nie przypomina pan sobie tej „smarkatki", której pan zawsze się tak psocił, gdy przychodziła z mamusią do biura?

— Więc to pani, panno Mario?

— Tak, to ja. Ale dlaczego pan nie mówi do mnie — tak, jak przed laty?

— No, jeśli sprawia to pani przyjemność, to mogą ją nadal nazywać kochanym trzpiotem.

— No widzi pan. To całkiem inaczej brzmi, niż przedtem! — rzekła piękna pani, mrużąc filuternie oczy.

— Jesteś czarująca — zauważył Piotr, psocąc się.

Młoda kobieta zaróżowiła się lekko i rzekła:

— Muszę stwierdzić, że tutaj jest mniej przyjemne miejsce do psot, niż w biurze. Prawda?

— O, masz rację! Dawniej były inne, lepsze czasy!

— A czy teraz są gorsze? — spytała niedoświadczona jeszcze młoda kobieta.

— To zależy... — odpowiedział wymijająco zapytany.

Maria Karłowska obrzuciła jednym spojrzeniem ubranie Piotra Szyszki, po czym powiedziała:

— Jeśli ci nie stoi nic na przeszkodzie, czarny Kotku, to możesz przyjść jak przedtem — pracować do mego tatusia. A w wolnych chwilach będziemy się bawić jak dawniej — dobrze?

Piotr nie wierzył własnym uszom. Więc jednak, los miał się znów do niego uśmiechnąć?... Miał nadal pracować i być dobrze ubrany... syty... jak to było kiedyś?!

Po chwili zapytał:

— Więc pan Karłowski założył nową firmę?

— Tak. Ale nie samochodową. Obecnie mamy wielką fabrykę odzieży męskiej. Ja jeszcze dziś porozmawiam z tatusiem o tobie, a jutro dam ci znać, od kiedy masz zacząć pracować. Bo przyjęty będziesz na pewno, chociażby dlatego, że obroniłeś mnie przed złodziejem.

— A teraz muszę już iść, kochany Kotku, gdyż rodzice będą się niepokoić o mnie.

Podała mu swą wypielęgnowaną rączkę, którą on ucałował niemal z czcią. Ale jednocześnie uświadomił sobie, że obudziło się w nim coś, co nazywamy: „pierwszym odruchem miłości".

Piotr Szyszka był jednakże niepoprawnym pesymistą, który nigdy niczego nie spodziewa się od życia i ludzi. Dlatego też nie zauważył spojrzenia, jakim obrzuciła go młoda kobieta — ta niezrozumiała, kapryśna, ale mimo wszystko, kochana istota!

KONIEC.

KRYSTYNA WALIGÓRSKA

Powrót

NOWELA

Maria była zdecydowana opuścić męża. Była już przygotowana na ostateczną z nim rozmowę. Miała już gotowe argumenty do wykazania słuszności swego kroku. Już przemyślała wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów. Nie chce żadnych scen, awantur. Chce odejść spokojnie.

Jest przecież młoda. O kilkanaście lat młodsza od męża. Jest przystojna, pełna uroku i życia. Po prostu grzechem jest marnować swoje, przecież jeszcze młode lata. Zwłaszcza jeśli spotkało się człowieka, który umie ocenić jej wartości, który rozumie, że kobieta taka jak ona, nie może marnować się w tych skromnych warunkach, pozbawiona odpowiedniej oprawy. Zasługuje na to, żeby być kochaną, wielbioną. A to wszystko może jeszcze być jej udziałem... I nikt przecież na tym nie straci. Od lat kilku już pożycie jej z mężem jest właściwie... żadne. Ogranicza się do wspólnych posiłków i to nie zawsze, bo mąż zapracowany, czasami i wieczory przesiaduje w biurze, a znowu czasami... kiedy on spędza te godziny w domu.. jej nie ma. Trudno, ona nie może się marnować, musi mieć swoje własne życie, swoje własne przyjemności. O ile ma się takiego męża, z którym nie może ich dzielić.

Cóż zresztą on może jej dać? Taki zawsze straszliwie poważny, zapracowany. Maria nie może znieść, kiedy patrzy na nią swymi głębokimi oczami. Wprawdzie kiedyś... kilkanaście lat temu, pokochała go właśnie za to wejrzenie poważne, za jego spokój i wyrozumiałość i dobroć. Tak... ale to było kiedyś... Widocznie pomyliła się, dzisiaj jej to nie wystarcza. Zresztą... mąż ją zaniedbuje, najwidoczniej jest mu obojętną. Wprawdzie jest pewna, że jej nie zdradza, o nie! Jest nadal dobry, uczciwy, ale... I tu staje przed oczyma Marii smukła postać Janusza. To ten, który zjawił się nagle w jej życiu i oświetlił je uczuciem gorącym, płomiennym. Dzięki niemu zrozumiała, że przecież i jej młodość jeszcze się nie skończyła. Szczęście pozna dopiero... Mąż? Musi ją zrozumieć... przecież nie kocha jej już. Zgodzi się na pewno na rozwód. Dzieci? Tu myśli Marii zatrzymały się na chwilę, a serce mocniej bić zaczęło... Ale zaraz się uspokoiła. Już teraz dzieci jej nie potrzebują. Jerzyk już taki duży, szesnastoletni chłopak, tak zawsze zajęty szkołą, kolegami, sportami — matka mu przeszkadza. A Lilka? — z rozrzewnieniem lekkim pomyślała o ślicznej dwunastoletniej córeczce. No tak, Lilka. A może zabrać ją jednak? Ale nie... już tyle razy o tym myślała, ale wiedziała, że to jest niemożliwe. Mąż jej nie odda żadnego z dzieci. Jest przecież dobrym, troskliwym ojcem. Nie — dzieci mu zostawi. To trudno... musi się poświęcić. Zresztą Lila tak ojca kocha. A jak dorośnie, to zrozumie też matkę, zrozumie, że nie mogła inaczej postąpić, że każdy ma prawo do szczęścia, do własnego życia...

Po chwili znów rozkochana, pełna uwielbienia twarz Janusza przesłoniła jej wszystkie inne myśli o domu, mężu, dzieciach... Myślała teraz tylko o nowym życiu jakie ją czeka...

— „Proszę pani, pan prosi panią do telefonu" — prawie przestraszył ją głos służącej. Ze spokojem podeszła do lustra, jakby w odbiciu swej twarzy chciała nabrać siły. Wysmukła postać, cera świeża, młodzieńcza, błyszczące, duże niebieskie oczy, śliczne blond włosy. Zdało jej się, że widzi w lustrze poza sobą, zgrabną sylwetkę Janusza... który patrzy na nią z podziwem.

Zdecydowanym ruchem podeszła do telefonu. Usłyszała spokojny (och, jakże zawsze spokojny) głos męża, który tłumaczył się, że nie będzie na obiedzie i nagle głośno dobitnie sama powiedziała w telefon: — „Niestety musisz przyjść i to zaraz, natychmiast! Muszę z tobą pomówić w bardzo ważnej sprawie". I znów równy, poważny głos męża: — „Dobrze, za pół godziny ci służę"...

Maria pomału wiesza słuchawkę. Za pół godziny? Co ona zrobiła?... Za pół godziny wszystko się rozstrzygnie. — A może cofnąć się? Może przecież jeszcze cofnąć?



Widok jednej z dzielnic Tokio niczym nie przypomina egzotyzmu japońskiego.



Z okazji stulecia przywozu herbaty do Europy odbył się w Londynie egzotyczny pochód przez ulice miasta.

Może oddzwonić mężowi, żeby sobie nie przeszkadzał w pracy. Ale nie, nie będzie tchórzyć, musi to skończyć. Wszak Janusz czeka ostatniego rozstrzygnięcia, tak się przecież bał, że ona się cofnie...

Maria niespokojnymi krokami przemierza pokój, potem otwiera drzwi do jadalni. Stół nakryty do obiadu na cztery osoby. Czysto, starannie. Ale to zasługa wiernej Agnieszki, która jest z tym domem, z tą rodziną zrośnięta, od samego początku jej istnienia. Wszak jeszcze na kawalerskim mieszkaniu służyła mężowi Marii. — Tak, ona zawsze będzie dbała o dom i dzieci. I dzieci także są do niej przywiązane...

Po tym przeszła Maria do pokoju dzieci. Stało tam białe łóżeczko Lilki, (Jerzyk sypiał w pokoju ojca), nowe biurko jej dużego syna — imieninowy prezent ojca. Na biurku porozkładane książki, tablice, mapy. Zabłąkała się też tam jakaś stara lalka Lili. Uśmiechnęła się Maria na ten widok. Bo takie dziwne sprawiał ten pokój wrażenie. Pokój dziecinny, a na połowie, jakby już pokój dorosłego mężczyzny. Bo oto łóżeczko Lili i biała szafa, i stolik córki do odrabiania lekcji i długi, taki śmiesznie niski biały stół, stojący na środku pokoju, (Maria pamięta, że był on wstawiony wówczas jak Jerzyk zaczął się uczyć, a Lilka miała trzy latka), na ścianach z jednej strony pełno obrazków dziecinnych, duży śmieszny pajac, a z drugiej strony mapa Polski, krajobraz górki, krajobraz morski, jakieś odznaki, medale, flower nad ciężkim poważnym biurkiem, na którym stoi nawet duża ozdobna popielniczka. Jerzyk wprawdzie nie pali papierosów jeszcze, ale popielniczka na biurku musi stać — tak dyktowała próżność chłopięca. Kiedy biurko zostało ustawione w dziecinnym pokoju, Jerzyk długo chodził po mieszkaniu, aż wybrał dużą popielnicę. Jest biurko — musi być popielniczka. Rodzice śmiali się wówczas z chłopca...

I patrzy Maria na to biurko i na starą lalkę Lili, która leży tam, rzucona niedbale. — Dzieci tak się kochają. Jerzyk, który bardzo jest gwałtowny z natury, nigdy na siostrę nie podnosi głosu. A drobniutka, dość wątła Lila uwielbia swego dużego, silnego brata. — Stoi Maria na progu dziecinnego pokoju i serce w niej taje, czuje, że słabnie, że myśli jej przybierają inny kierunek. Nagle w korytarzu, za sobą słyszy kroki, a po chwili równy, spokojny głos męża: — „Chciałaś ze mną pomówić Marychno". — Maria odwraca się i widzi poważną, jakby z marmuru wykutą twarz męża. — Jaki on spokojny, jaki spokojny — myśli — nic go nie jest w stanie z tego spokoju wyprowadzić, nic go nie obchodzi. Przygląda się przez chwilę jego twarzy, a potem mówi: „Owszem — pójdziemy jednak do mego pokoju, tam nam nikt nie przeszkodzi". — I kieruje się w tamtą stronę, a poza sobą słyszy równe, jakby odmierzone kroki męża. Wchodzą do pokoju, który ona zamyka, a potem mówi od razu stojąc wprost niego: — „Chcę rozejść się z tobą, Witoldzie" — i patrzy na niego, lecz widząc, że twarz jego ani nie drgnęła, mówi dalej: — Sam chyba czujesz, że tak długo żyć z sobą nie możemy — dla mnie to piekło. Może tobie wystarcza to wszystko co osiągnąłeś po 17-letnim naszym pożyciu, — jesteś już starszy, niewiele dla siebie wymagasz, ale nie możesz być takim egoistą, by nie zastanowić się nad moim losem. Mam dopiero trzydzieści lat, na co zresztą nie wyglądam, nie wystarcza mi to życie, które tu pędzę... Spotkałam prawdziwe szczęście i znając ciebie, wiem, że mi nie staniesz na przeszkodzie, wiem, że pozwolisz mi odejść. — Maria umilkła na chwilę i spojrzała na męża. — On nie odzywał się ani słowem, tylko słuchał jej w milczeniu. Twarz jego była spokojna, jak zawsze, nie zdradzała żadnych uczuć. Drażniło to Marię, więc zbliżyła się o krok do męża, czekając na jakieś słowo: — „Proszę cię Marychno, mów dalej, słucham cię bardzo uważnie". — Maria usiadła na niskim fotelu i mężowi ręką wskazała drugi, lecz on został w pozycji stojącej i powtórzył: — „Proszę cię, mów dalej Marychno". — „No więc przypuszczam, że zgodzisz się na rozwód Witoldzie. Nie jestem już wam potrzebna, a ostatnio atmosfera w domu, stała się zbyt ciężka. Dzieci mają już swoje życie poza domem, Jerzyk stał się w stosunku do mnie nieposłuszny, krnąbrny". — Przerwał jej: — „Naturalnie oboje i Jerzyk i Lilka zostaną przy mnie". — Maria spojrzała na niego, a potem spuściła głowę. — „Oczywiście, wiem, że mi dzieci nie pozwolisz zabrać... tak... wiedziałam o tym... liczyłam się z tym... I Lilkę stracę... ale wiem, że dzieci kochasz, że będzie im dobrze z tobą. A kiedyś, jak się wszystko ułoży, to przyślesz mi czasem Lilę na czas jakiś, prawda?" — Znowu jej przerwał: — „Dokąd?" — „No do mnie, do mego domu". — Powtórzył: — „Dokąd, do czyjego domu?" — Stał przed nią. — Zmieszała się... — „No do domu mego przyszłego... — zawahała się — „do domu człowieka, z którym zacznę nowe życie"... — Wyzywająco spojrzała na niego. On milczał i ona chwilę nic nie mówiła... Po paru minutach wstała. — „Witoldzie, zrozum — oboje z Januszem jesteśmy przecież jeszcze młodzi, mamy prawo do szczęścia. To prawo jest silne — nie możesz nam go odmówić, nie możesz stanąć nam na drodze".

Oparł się o ścianę, pogładził ręką posiwiałe włosy, a potem mówił cicho, lecz wyraźnie, choć uważny obserwator dostrzegłby, że słowa z trudnością wychodzą mu z gardła. — „Masz rację, Mario, jeszcze młodzi" — ogarnął spojrzeniem na krótką chwilę powiewną, jasną postać żony — „macie prawo do szczęścia i ja wam nie myślę w tym przeszkadzać. Jesteś wolna".

Maria wciąż jeszcze siedzi w niziutkim fotelu, a przez głowę przechodzi tyle różnych myśli... nie kocha, nigdy mnie nie kochał. Nic więcej w tej chwili nie ma mi do powiedzenia. Z taką łatwością zwraca mi wolność. Och, co za głaz!... Potem znów widzi uszczęśliwioną twarz Janusza...

No więc cóż, załatwione. Jest wolna, może pójść ku swemu szczęściu. Spojrzała na męża. On w tej chwili zwraca się ku drzwiom i nagle raz jeszcze odwraca się ku niej. — „Tylko jeszcze jedno Mario. Jeden tylko stawiam warunek. Z dziećmi nie będziesz się widywać w swoim domu... Możesz je widywać na innym gruncie, albo tu u mnie, jeśli będziesz chciała. Może jak będą już pełnoletnie, to same wybiorą i osądzą czy będą mogły przestąpić próg domu... tamtego człowieka..." Maria zrywa się. „Dobrze! Mogę przyjąć ten warunek! Dziś jeszcze wyjeżdżam. Dzieciom ty... potem... wytłumacz... ja... nie mogę,,, Wieczorem już mnie nie będzie". — A on znów bardzo spokojnym głosem mówi: „A więc, żegnam cię, Mario. Dobrze, bardzo dobrze, że już cię nie zastanę jak wrócę wieczorem do domu... tak będzie lepiej". — wychodzi... trzask zamykanych drzwi...

Po chwili stroskana twarz Agnieszki zagląda. „Proszę pani, czy pan nie będzie na obiedzie"? — Maria wciąż siedzi na tym samym fotelu. Na głos służącej podnosi głowę. — „Nie Agnieszko, nie będzie. Czy dzieci wróciły?" „Pan Jerzyk jest już u siebie, tylko Liluchna coś długo dziś nie wraca". — Maria zaniepokoiła się. A rzeczywiście, coś długo dziś Lilka nie przychodzi. — Wchodzi do pokoju stołowego, gdzie Agnieszka odkłada jedno nakrycie. — „Niech Agnieszka zawoła po obiedzie tę Jaśkę od stróżki. Pomoże mi w pakowaniu, bo wieczorem muszę wyjechać".

Dokończenie w nast. numerze.



Harcerz winien być pomysłowy. Na wypadek braku zapałek musi skrzesać ogień sposobem naszych pradziadów.

CZESANIE I PIELĘGNOWANIE WŁOSÓW



Czytałam w gazetach, że w Indiach są szkoły dla narzeczonych, które uczą adeptki do stanu małżeńskiego, pochodzące z wyższej kasty hinduskiej „64 sztuk wykwintnych".

Jedna z najważniejszych spośród tych 64 sztuk jest pielęgnacja i układanie włosów.

O tym właśnie czynniku elegancji kobiecej pragnę dziś pomówić.

Każda pani, pragnąca uchodzić za dobrze uczesaną, powinna największy nacisk kłaść na pielęgnację włosów, a potem dopiero na modne i twarzowe ich uczesanie.

Do podstawowych zabiegów około pielęgnacji włosów należy częste ich mycie — raz na tydzień, albo na dwa tygodnie — w wodzie miękkiej.

W porach częstych opadów deszczowych, jak wiosna, lato, jesień, posługujemy się wodą deszczową, a w zimie do tego samego celu posłuży nam śnieg.

Zbieramy dużą ilość czystego śniegu, topimy go w kotle, przecedzamy przez płat batystu i mamy dalszą wodę, wcale nie ustępującą rozczynowi szamponu. Różnica jest ta, że włosy umyte w szamponie przez krótki czas utrzymują delikatny zapach, co jest oczywiście bardzo miłe, ale ten sam efekt możemy osiągnąć, umywszy je w zwykłej wodzie deszczowej. Po prostu po osuszeniu włosów uperfumujemy je lekko przy pomocy rozpylacza naszymi ulubionymi perfumami lub wodą kwiatową i sprawa załatwiona.

Suszyć włosy należy umiejętnie, zwłaszcza, gdy mamy trwałą ondulację. Włosy umyte i należycie opłukane chwytamy w obie dłonie i lekko wyciskamy, następnie osuszamy je czystym miękkim ręcznikiem z tkaniny chłonnej np. frotté. Czynność osuszania polega nie na bezładnym tarciu, które niepotrzebnie burzy nam i psuje loki ondulacji, lecz na lekkim wyciskaniu. Chwytamy spirale loków od dołu i wyciskam je cierpliwie. Tak lekko przesuszone układamy we fryzurę, którą nosimy.

Dodać należy, że nie powinniśmy unikać szczotkowania włosów, gdyż ono nadaje im połysk i naturalną puszystość, a ponadto wpływa dodatnio na obieg krwi i tym samym przyspiesza porost oraz wzmacnia włosy.

Jeżeli fryzura nasza jest tak skomplikowana, że bez pomocy fryzjera nie możemy jej utrzymać, to naturalnie sprawa należytej pielęgnacji włosów nieco się komplikuje. Ale i wówczas przy dobrej woli możemy raz na dwa tygodnie przeprowadzić takie samodzielne mycie, suszenie i szczotkowanie naszych włosów z bezsprzeczną korzyścią dla nich, jak i naszych finansów. Gdy tę „operację" przeprowadzimy wieczorem, to na drugi dzień rano fryzjer „zrobi" nam znowu główkę modnie i twarzowo.

A właśnie o najnowszej fryzurze pomówimy z kolei.

Otóż modne są wprawdzie jeszcze zawsze włosy z tyłu podczesane wysoko w górę i formujące się w czub na wierzchu głowy, lecz równocześnie coraz częściej pojawiają się fryzury z włosami luźno opuszczonymi na tył głowy, dołem podwiniętymi nie na zewnątrz, jak było do niedawna, lecz do wewnątrz.

Nasz model jest klasycznym wzorem fryzury obecnie najnowszej, a bodaj, że i bardziej twarzowej tych z włosami zaczesanymi pod górę. (Modele powyżej).

Niezależnie od upodobania do tej, czy innej fryzury, warto zapamiętać, że teraz będą faworyzowane nie drobne loczki, misternie upięte na wierzchu głowy lub nad czołem, lecz jeden szeroki lok, ułożony nad czołem w poprzek głowy na kształt grzywki.

Ale powróćmy jeszcze do naszego modelu! Jak panie mają możność stwierdzić, włosy na skroniach zawinięte są w długi rulon, u ciemienia przechodzący w wymyślnie skręconą ślimacznicę. Pozostałe włosy opadają luźno na kark i są zakończone szerokim wałkiem, podwiniętym pod spód.

Fryzura ta ma tę ogromną zaletę, że nie postarza, a przeciwnie odmładza i dzięki temu



znajdzie u wielu pań powodzenie i przychylne przyjęcie. Przy sposobności zaznaczę, że wielcy mistrzowie grzebienia zadecydowali, iż w bieżącym roku najmodniejszym będzie czarny kolor włosów.

Może dzięki temu znikną z naszego horyzontu wszystkie platynowe blondynki i inne płomiennorude wampy, mnożące się w ostatnich latach z rozpaczliwą determinacją, godną lepszej sprawy.

Mirania Galińska

ŚWIAT i ŻYCIE

Błyskawiczne dostarczanie dzienników czytelnikom

Wszystkie wydawnictwa, a zwłaszcza wielkich dzienników starają się, aby ich egzemplarze dochodziły do rąk czytelników możliwie jak najrychlej. Czas odgrywa dużą rolę. Dostarcza się je gońcami na rowerach, motocyklach, autami, pociągami i nawet samolotami do miejsca przeznaczenia. Postęp swoje już zrobił, niemniej jednak są jeszcze miejscowości, do których dzienniki docierają wolniej, zwłaszcza gdy są one położone z dala od linii kolejowych czy autobusowych, a nawet od zwykłych szos. Specjalnie ma to znaczenie w Ameryce, gdzie czytelnictwo wzrasta niezwykle szybko, a istnieją jeszcze przestrzenie, które oddalają znacznie miejsce zamieszkania od linii komunikacyjnych, dokąd dostarczenie pisma czytelnikom nawet samolotem wydaje się za powolne.

Rozpoczęto więc w Ameryce próby, aby istotnie dostarczać abonentom specjalne pisma drogą ,,błyskawiczną", bez względu na to, czy czytelnik tego pisma mieszka na najruchliwszej ulicy Nowego Jorku, czy też gdzieś na odludziu w Alasce, czy innych okolicach słabo jeszcze zaludnionych. W tym celu zbudowano aparat zbliżony do aparatu telewizyjnego, mogący przesyłać drogą radiotelegraficzną na każdą odległość kilka szpalt wiadomości łącznie z ilustracjami. Pomysł ten zresztą nie odbiega daleko od stosowanych już sposobów szybkiej obsługi najważniejszych wiadomości klubów wzgl. hoteli amerykańskich przez teleskryptory. Zasięg przesyłanych wiadomości teleskryptorami był ograniczony. Pomyślano więc o poprzednio wspomnianym wynalazku. Ma się więc przystąpić do wydawania gazety telewizyjnej przez cztery stacje nadawcze, zawierającej od trzech do pięciu szpalt z krótkim artykułem wstępnym, najważniejszymi wiadomościami ze świata oraz notowaniami cen. Aparaty odbiorcze są tak skonstruowane, że odbierać będą gazetę automatycznie, przenosząc je same na taśmę. Właściciel aparatu wróciwszy do domu zastanie już gotowy dziennik.

Nurkowie na Saharze..

Paradoksalnie brzmi, że na Saharze znajdują się nurkowie. Jednak specjalne oddziały nurków pracują nad pogłębieniem bardzo głębokich studzien w oazach pustyni. Mianowicie wiele studzien i źródeł, jedynych dos arczycielek wody na pustyni, uległo zasypaniu. Nurkowie mają na celu oczyszczenie tych studzien, a zważywszy na ich głębokość ubrani są oni w specjalne skafandry, podobne wielce do skafandrów wodnych dla nurków morskich i rzecznych. Praca nad oczyszczaniem studzien jest bardzo ciężka. — Wybierany szlam ulega obsuwaniu, często wytryskująca woda zalewa robotników, brak powietrza do oddychania sprawia, że przy każdym prawie oczyszczeniu zdarzają się poważne wypadki nawet śmiertelne.

O jadowitych pająkach

Wiadomo, że istnieją pająki, których ukąszenie zagraża życiu ludzkiemu. Takim pająkiem posiadającym długość 13 mm jest ,,mamignatto" (latrodectes tredecimguttatus), żyjący we Włoszech, południowej Francji, Hiszpanii i Grecji. Ukąszenie tego pająka wywołuje nieustanne pragnienie, silną gorączkę i ciężkie ataki sercowe. Ludzie słabsi po ukąszeniu często umierają.

Pokrewnym gatunkiem jest ,,czarny wilk" (Lukubris Rossi), którego spotyka się najczęściej w stepach południowej Rosji. Napada on zarówno ludzi, jak i zwierzęta: konie, wielbłądy, bydło rogate. W ubiegłym stuleciu były lata, w których całe stada pasącego się bydła i koni stawały się ofiarami ,,czarnego wilka". Jad tego pająka wywołuje u ludzi ślepotę, omdlenie, kurcze, a nawet pomieszanie zmysłów i napady szału.

Obok ,,czarnego wilka" żyje jeszcze z pająków słynna ,,czarna wdowa", postrach Kalifornii. Ukąszenie jej jest równie niebezpieczne, jak ukąszenie jadowitych żmij. Jadu tych pająków używali dawniej Indianie do zatruwania strzał.

Wielkimi rabusiami są niektóre gatunki pająków wodnych. Napadają one ryby, nawet znacznej wielkości.

W Brazylii istnieją olbrzymie pająki, pożerające ptactwo i zwierzęta wielkości królika.

Fałszerstwa i fałszerze

Fałszerstwo dokumentów jest tak stare, jak spisane niemal dzieje cywilizacji ludzkiej. Wiele sposobów fałszowania zna kryminologia. Stare dokumenty fałszowano np. przez zanurzenie ich w słabym roztworze kawy dla nadania im pozorów starości. Jednym z najczęstszych sposobów fałszowania podpisów na czekach bankowych jest kopiowanie podpisów z bibuły do danej do użytku publiczności bankowej. Wiele banków przestrzega swoich klientów by nie zostawiali wysuszonych na bibule podpisów, a niektóre instytucje bankowe używają czarnej bibuły, by podpisy były niewidoczne. Najczęściej w dziejach fałszerstwa podrabiano podpisy Antoniego Stradivariusa, słynnego fabrykanta skrzypiec. 50 lat temu słynny był na całym świecie fałszerz Robert Spiring, który posiadał nadzwyczajny wprost dar podrabiania podpisów.

Rodzinne zapiski meteorologiczne

W roku 1736 Robert Marshams, znany przyrodnik angielski rozpoczął prowadzenie systematycznych notatek o obserwowanych przez siebie zjawiskach przyrody nie wyłączając zapisków o pogodzie. Ten pierwszy dziennik meteorologiczno-przyrodniczy, prowadzony jest do dziś dnia przez potomków uczonego, który w bibliotece rodzinnej przechowują z pietyzmem jego zapiski. Zawierają one ciekawe dane o okresie kwitnienia i owocowania kwiatów i roślin o przelotach ptaków, o przebiegu pogody itp. Według wiernie przez potomków Marshamsa kontynuowanych zapisków, najwcześniejszy przylot jaskółek zaobserwowano 8 kwietnia 1846, najpóźniejszy 12 maja 1904 roku.

Najwcześniejszą datę zazielenienia się dębu zauważono 30 marca 1882, najpóźniejszą 20 maja 1799. Z zapisków tych wynika poza tym, że pogoda ulega wahaniom w okresach 12 do 15-letnich.

Święte krowy

Spośród 700 milionów bydła na całym świecie, na Indie przypada pokaźna cyfra 215 milionów. Pokaźna cyfra wskazywałaby właściwie na ogromne bogactwo rolnictwa czy hodowców bydła. Tymczasem rzeczywistość przedstawia ten stan we wręcz odmiennym świetle. Podczas gdy inne kraje stosownie do wzrostu trzody chlewnej bogacą się — Indie ubożeją niemal z każdym rokiem.

Na 100 Hindusów przypada przeciętnie 60 krów, których jednak żaden krajowiec nie zabija dla własnego użytku, ani nie hoduje na sprzedaż. Krowa jest w Indiach zwierzęciem świętym, któremu nie można robić żadnej krzywdy. Indie więc przodują jedynie w światowej produkcji przetworów mlecznych. Indie są jedynym krajem na świecie, gdzie bydło samo zdycha, gdzie nikt go nie hoduje na rzeź, ani nie zabija. Z powodu ciągłego przyrostu ilości krów, rolnik hinduski nie jest w możności dostarczyć paszy, a samo mleko jest zaledwie nikłym procentem tego, co w zamian dawać trzeba, gdyż krowa nie przedstawia dla Hindusa żadnej wartości handlowej. Zgodnie z tradycją i obrzędkami wiary paszę musi dla siebie znaleźć każda krowa, która znajdzie się w obrębie gospodarstwa Hindusa.

Ekonomiści angielscy ustalili, że Indie giną gospodarczo właśnie z powodu tych świętych krów. Każdego krajowca utrzymanie krów kosztuje przeciętnie miesięcznie 5 szylingów, nie mówiąc o szkodach, jakie czyni bydło, tratując ziemię, niszcząc zasiewy i rozdeptując drogi na przestrzeni tysięcy kilometrów.

PIOTR ŁASTÓWKA 2)

Dama z balu

NOWELA.

Życie tętniło w każdej kresce i plamie, każda smuga zdawała się przemawiać. Uśmiechnięte rysy twarzyczki, te same kuszące usta, fałdy szat balowych, drgające zda się jeszcze wirem tańca i te kształty ukrytego w nich ciała — wdzięczne, urokliwe, wabiące i płynne..

— Parę dni i daję na wystawę — zwrócił się Chmarski do kolegi, żywo uśmiechnięty, pełen szczęścia i radości, choć bladość na jego twarzy rysowała się tak, jakby już kilka dni nie odkładał pędzla.

— Skąd tak nagła przemiana w tobie? Czuję, że dopiero teraz stajesz się artystą. Tylko u nas ciężko ci będzie zdobyć uznanie tak szczerym dziełem; musisz wyjechać za granicę. Ta rzecz nie jest w guście naszych snobów, którzy nie ukrywajmy prawdy, robią artyście reklamę, sławę, rozdają dyplomy, pozują na ,,geniuszów"...

Chmarski usiadł i zastanowił się nad tymi słowy.

— Masz rację, że u nas największe talenty marnieją. Po prostu nie uznaje się bez protekcji, nawet największego dzieła, i basta. Któż to się dobija? — zerwał się nagle Chmarski — pewno znów z mydlarni, a ja nie mam czym zapłacić. Otwórz i powiedz, że wyjechałem na parę dni z Warszawy, a ja się schowam.

— Chciałyśmy tylko obejrzeć, może coś kupimy — zwróciła się do Obłoczyńskiego Olimpia, kiedy ten otworzył.

— Proszę bardzo — rzekł, skłoniwszy się zapraszająco.

Chmarski, ukryty za sztalugami, kiedy usłyszał, że tym razem przyszli nie wierzyciele, serce zabiło mu nieoczekiwaną radością. Poprawiając włosy i podarty fartuch, wyszedł z kryjówki. Przywitał piękne damy i jął im pokazywać swoje nieudolne prace, pochowane po kątach. Żadnemu z nich nie przyszło na myśl, że może to być akurat ubóstwiana ,,Dama z balu", traktująca te wizytę jeszcze nieco rozrywkowo.

Olimpia, ubrana całkiem inaczej, niż w ową noc, nie do poznania, nie zdradziła się niczym Wybrała jedną z najlepszych akwarel i już chciała odejść, gdy nagle wzrok jej spoczął na dużym płótnie. Poznała siebie. Serce jej dziwnie słodko zabiło.

— Czyjże to portret? — zwróciła się pytaco do malarza — narzeczona zapewne? A może Beatrycze? — i opuściła oczy w dół jakby nieco zmieszana swym wewnętrznym przyjemnym zadowoleniem. Obraz ten schlebiał jej.

— Tak, ma pani rację. To ,,Dama z balu" — dobitnie i fachowo odrzekł Chmarski.

— Hm, kiedyż pan to wykończy?

— Za tydzień będzie gotowe.

— Zamawiam. Dobrze?

— O, nigdy! To wyłącznie dla siebie — uniósł się, a w duszy pożałował, gdyż bardzo potrzebował pieniędzy. — Wie pani, prawie każdy artysta posiada choć jedno takie najukochańsze dzieło, z którym nigdy nie może rozstać się. Są bowiem przeżycia tak intymne, które artysta zazdrośnie chowa i wskrzesza je tylko w głębokiej samotności. Takie przeżycie właśnie wyraża ten obraz. I dlatego za żadną cenę nie sprzedam go.

Olimpia długo nie pozostawała. Ujęły ją słowa malarza, które odnosiły się do niej, choć pono tylko sama o tym wiedziała. Chciała mieć ten obraz koniecznie. Wychodząc, szybko położyła pięćdziesiąt złotych na sztalugi:

— To zadatek na ten obraz. Do widzenia.

— Nie mogę przyjąć — bronił się Chmarski.

— Nic mnie to nie obchodzi, obraz musi być mój — rzekła nieugięcie.

I wyszła.

— Widzisz, co ci przyniósł bal? — rzekł Obłoczyński, kiedy zostali sami.

— To praca — uśmiechnął się w odpowiedzi malarz. — Ale co to za jedna? To ciekawsze, że tak rzuca się gotówką. Musi być wielką arystokratką — zamyślił się po czym dodał: Pieniądze przydadzą się lecz obrazu nie dostanie, przynajmniej za farby zapłacę, bo już nie chcą mi kredytować.

— To mi się podoba. I na taki postępek stać prawdziwego artystę.



Ubieranie kombinezonu przeciwiperytowego jest równie trudne jak włożenie sukni balowej. Zdjęcie z ćwiczeń opl. w Sztokholmie.

— Pamiętasz, coś mi mówił a propos mojej marynarki?

— Aha! Ale wiesz, że ten twój szkic i ta co go zadatkowała są do siebie uderzająco podobne.

— Myślisz, nie poznałbym od razu? — zgromił go Chmarski, dumny ze swej przenikliwości.

— Bądź tej myśli. Ja jednak twierdzę nieomylnie, że to nikt inny, tylko ona, — uparł się. — No, nie przeszkadzam ci, pracuj. Zobaczę, co zrobisz do jutra. Bywaj.

Kiedy Chmarski został sam, począł się zastanawiać: zadatek, wpatrywanie się tajemniczej kobiety w obraz, a i pewność przyjaciela, zadawały mu nie mały kłopot.

— Mniejsza z tym — poderwał siebie — ona, nie ona, trzeba robić — i jeszcze z większym zapałem począł uwijać się, jak gdyby pędziło go pilne zamówienie. Zwykle tak pracował przed premierami w kinie.

Olimpia wróciwszy do domu była trochę podniecona. Zaimponował jej ten młodzian, jeżeli na razie nie swoją osobą (był zaniedbany, jak to zwykle artyści), to bodaj zapałem i pasją, z jakimi tworzył „Damę z balu". Musi w tym tkwić coś głębszego — doszła do wniosku.

— Naprawdę, rozkochany we mnie — tłumaczyła sobie i cieszyła się zarazem. — Ale biedak to biedak.. A to poddasze z okienkiem patrzącym w niebo.. i jak on może tam pracować? — Nie rozumiała elementarnych zagadnień artystycznej twórczości.

Żal jej się zrobiło Chmarskiego, ot tak po ludzku, lecz pomóc mu wydatnie na razie, mimo najusilniejszych starań, nie mogła. Była jeszcze młodą, do swojej dyspozycji miała niewiele. Ale odruch dobrego porywu trwał. Napisała więc list do malarza, prosząc go o spotkanie się z nią. Odzienie włożyła jak najskromniejsze, by nie dać mu do zrozumienia, że opływa w dostatku. Chciała być taką jakim i on. To zbliża szybciej. Chciała, by czuł się przy niej swobodnym.

Od tej pory spotykali się często. Pierwotne poczucie oddalenia gasło. Chmarski był zakochany. Olimpia zdradzała wielkie zainteresowanie się nim. Początkowo kierowała się ona raczej w stronę jego walorów artystycznych, z czasem jednakże, gdy wtajemniczał ją w koleje swego życia, stawała się coraz tkliwszą i wyrozumiałą. Chmarski starał się wobec niej wyglądać jak najstaranniej, instynktownie pragnąc się jej przypodobać. To cieszyło Olimpię, gdyż wiedziała, że robił to dla niej.

Nieodstępne w miłości uczucie obawy i niepokoju zaczynało męczyć Chmarskiego, gdy sobie uświadamiał, że ona jest bogatą, mimo wszystkich przeciwnych pozorów i pochodzi z arystokratycznej rodziny. Czyż miałby ją z tego powodu stracić teraz, gdy ich wzajemne uczucie staje się coraz, jak mniemał, gorętsze?

— Co mam zrobić? — radził się któregoś dnia swego przyjaciela. — Kocham ją ponad wszystko. Szczęście swoje widzę tylko u jej boku. A wiem, że jej rodzice zabronią nam widywać się, a o połączeniu się mowy być nie może, bo, prawdę mówiąc, cóż ja, jestem skromnym malarzyną, a ostatnio, o ironio losu! dekoratorem kinowym — schylił głowę w dół w pokorze i zamyślił się smętnie.

— Jesteś niezaradny i o słabej woli, to ci powiem. Cóż za mężczyzna z ciebie? Masz w sobie szczery pęd twórczy, czy nie? Rzuć wreszcie ten „Capitol", wybierz się gdzieś do puszczy lub też zagranicę, zajmij się pracą, ale naprawdę sztuką, a zobaczysz, jak ci się karta odwróci... Dokądże będziesz malował reklamy kinom żydowskim? Wstyd, doprawdy wstyd! — gromił go Obłoczyński.

— Do jutra zapadnie decyzja. Muszę przecie coś uczynić. Tak pragnę stać się godnym jej, by przy mnie mogła mieć te warunki, na które zasługuje i które tak bardzo pragnąłbym jej dać — ubolewał.

Nazajutrz, kiedy Obłoczyński zjawił się u niego, zastał Anatola w gorączkowym przygotowaniu się do wyjazdu.

— No i dokądże wyruszasz? — spytał niedowierzająco. — Pomogła moja nauka?

— Za granicę — odparł sucho. — Żal mi pozostawić kochaną Warszawę, gród, w którym w nędzy wychowałem się, i jeszcze więcej żal Olimpii... — zaczął się skarżyć niemal dziecinnie.

— Warszawę zastaniesz taką samą, a co do Olimpii, to nie martw się — pocieszał go — postaram się nią zaopiekować dotąd, aż wrócisz do kraju, oczywiście po zdobyciu tego, za czym się wybierasz: sławą i pieniędzmi. O, wtedy... będziemy myśleć o weselisku — klepał go po ramieniu Obłoczyński. — Tylko trzymaj się mocno!

Upłynęło jeszcze parę dni i Chmarski był już gotowy. Spotkał się jeszcze ostatniego dnia z Olimpią, ale nic a nic jej nie wspomniał o swoim postanowieniu. Chciał je wykonać w tajemnicy, w której, jak czuł, będzie łatwiejsze rozstanie się. Tym razem postąpi inaczej, niż zwykle, kiedy najpierw rozgadał się o swoich zamiarach, a później nie miał sił do urzeczywistnienia ich.

Zebrawszy trochę grosza przy pomocy serdecznego przyjaciela, który najwięcej w tym się przysłużył, wyruszył w drogę pięknej księżycowej nocy, żegnany, tylko przezeń.

— Czy by nie stracić jej — myślał już w pociągu — wyjechałem bez pożegnania, bez obietnic powrotu... Zaraz znajdzie się inny i porwie mi ją... Nie, chyba tak nie będzie — uspakajał się — kochany mój Rysio nie dopuści do tego. A jeśli wrócę takim, jakim wyjeżdżam, co wówczas poczną?... — pytał bezradnie. — Nie — pocieszał się — będę pracował bez wytchnienia z tą myślą, że to dla niej, tylko dla niej, a na pewno uda mi się i ziszczą się moje pragnienia.

Niecierpliwił się, kiedy długo trwała ta podróż. Irytował go każdy postój pociągu. Chciałby już stanąć czym prędzej u celu, w starym, przepięknym, bogatym w sztukę malarską włoskim grodzie i zacząć pracę, która dzień po dniu zbliżać go będzie ku ukochanej.

Znalazłszy się wreszcie w malowniczym mieście, gdzie od przedwieków sztuka kwitnie, przodując całemu światu, zajął się najpierw wyszukaniem sobie zacisznego kąta, który by jak najbardziej odpowiadał zamierzeniom twórczym. Wkrótce udało mu się to. Wynajął na przedmieściu skromny lecz miły pokoik, z którego roztaczał się przepiękny widok na morze, na wille stojące nad jego brzegiem, winnice i gaje pomarańcz. Zaszył się w czterech ścianach i jął się pracy bez wytchnienia. Spieszno mu było do wypowiedzenia się. Wszak przywiózł z sobą zapas tematów, idei i pomysłów. Przenikała go gorączka twórcza, płynąca ze szczerego serca. W oddali, jako uwieńczenie tych wysiłków, widział miłość Olimpii, jedynej istoty, dla której zaczął pełniej żyć i pracować uczciwie. Wywiózłszy ponad to w pamięci piękne widoki z Polski, począł uwieczniać je na płótnie, żywo i malowniczo, podpisując swe prace pseudonimem, by nadal zachować postanowioną tajemnicę.

Była to przeradosna praca, niemal natchniona i wzniosła.

W chwilach wytchnienia Chmarski wykorzystywał każdy moment w inny sposób: zwiedzał galerie sztuki, muzea i zabytki architektoniczne miasta, które było w nie bogate. Ciągle się kształcił jeszcze, by dzieła jego, które zamierzał tu stworzyć, miały poziom i wysoką kulturę europejską. A nie brakowało wzorów starych mistrzów, którzy już wychowali liczne pokolenia artystów, pochodzących z różnych krajów, narodów i ras. Jeszcze kiedyindziej zwiedzał włoski krajobraz, porównywał go z ojczystym, zbierał motywy do dalszych prac itp. Słowem zakreślał sobie pracę na szereg lat.

— Całe życie można tu spędzić — myślał i — byłoby co do roboty. Nieprzebrana skarbnica sztuki.

Ale opanowywał się, unikał rozpraszań swego talentu. Spieszył z zamierzonymi dziełami, które, jak czuł, miały go wznieść na wyżyny, gdzie arystokracja krwi i ducha podają sobie dłonie. Poza tym bardzo tęsknił za Olimpią. Wszystko tu było przepojone miłością i urokiem życia. Roił już o tym, kiedy wróci, a tymczasem pracował intensywnie, by chwila ta była naprawdę o całym jego życiu decydującą.

(Dokończenie w następnym numerze)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. W. Gd. — Dukla. Dziękujemy Pani za serdeczne słowa, skierowane pod adresem naszych pism i donosimy uprzejmie, że sprawę administracyjną załatwiliśmy chętnie. Życzymy Pani pomyślności i pozdrawiamy serdecznie!

CHWILA ZASTANOWIENIA

KOŁÓWKA

Ul. F. Gałecki (Czł. War. Kl. Szar.)

Z wyrazów czteroliterowych w promieniach ułożyć inne pięcioliterowe wyrazy po dodaniu po jednej literze z koła zewnętrznego; litery są rozrzucone. W każdym nowym wyrazie dwie ostatnie litery są jednakowe. W kole z czarnymi polami otrzymamy rozwiązanie.



UZUPEŁNIANKA

Ul. „Eros".

n	i						
		n	e				
				n	i		
						n	i

1. Miła trucizna.
2. Utwór poetycki.
3. Góry w Europie.
4. Słynny skrzypek.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku dn. 24 lutego br.

Rozwiązanie zadań z nr. 6 „Moich Pow.": I. Logogryf: Tytuł powieści „Anna", autorka Maria Reutt.

II. Szarada: „Radość życia".

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Woźniak Edmund — Poznań, Wrocki Jan — Poznań, Górski Wacław — Toruń, Łacicki Zyg. — Katowice.

Nagrody w drodze losowania przyznano p. p. Woźniakowi z Poznania i Łacickiemu z Katowic.

Radio

Niedziela, dnia 19 lutego 1939 r.

7.15 Audycja poranna 10.15 Transmisja nabożeństwa z Poznania 11.47 F. I. S. — Skoki narciarskie o mistrzostwo świata (pogadanka) 12.03 Poranek symfoniczny z Krakowa 13.15 Muzyka obiadowa. W przerwach F. I. S. — transmisja z Zakopanego skoków narciarskich 14.40 Wszystkiego po trochu — audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 F. I. S. — transmisja z Zakopanego konkursu skoków narciarskich 17.30 Podwieczorek przy mikrofonie 19.30 „Pies Mona" — fragment z powieści E. Szemplińskiej 19.50 Recital śpiewaczy Bahrii Nuri - Hadžić 21.20 Muzyka taneczna ze Lwowa 21.55 „Łątki radiowe" — wesoła audycja ze Lwowa 22.30 Muzyka taneczna 23.05 F. I. S. — ostatnie wiadomości sportowe z Zakopanego 23.05 F. I. S. — wiadomości z Polski w języku angielskim, niemieckim i francuskim.

Poniedziałek, dnia 20 lutego 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Piosenki o szczęściu (płyty) 12.03 Audycja południowa 13.00 Audycja dla kupców i rzemieślników 13.30 „Franciszek Liszt" — audycja dla gimnazjów 15.00 Mit grecki p. t. „Trzy złote jabłka" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa 16.35 Fragmenty oper Ryszarda Straussa — koncert 17.20 Dla każdego jest miejsce w pracy społecznej — pogadanka 17.40 Muzyka taneczna w wykonaniu zespołu Pawła Rynasa 18.00 Audycja da wsi 18.30 Muzyka taneczna 19.00 Bilans F. I. S.-u — pogadanka 19.10 Audycja żołnierska 19.40 Koncert rozrywkowy z Katowic 21.00 Koncert symfoniczny 23.03 F. I. S. — ostatnie wiadomości sportowe z Zakopanego 23.05 F. I. S. — wiadomości z Polski w języku francuskim angielskim i niemieckim.

Wtorek, dnia 21 lutego 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.30 Z operetek Millöckera — koncert z płyt 12.03 Audycja południowa 15.00 Życiorys maszyn: Telegraf — pogadanka 15.30 Muzyka obiadowa z Łodzi 16.30 Pieśni Stanisława Niewiadomskiego — koncert z Wilna 16.45 W barwnym świecie kryształów — pogadanka 16.55 Tańce różnych narodów — koncert z Katowic 17.30 Z pieśnią po kraju 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert symfoniczny 22.00 Przechadzki ateńskie: „W Partenonie samym" 22.25 „Śledź" — muzyka taneczna.

Środa, dnia 22 lutego 1939 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 Nasz koncert: „Co śpiewają dzieciom w Irlandii" — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.20 Dom i szkoła: Gawęda dr. Antoniego Karpowicza 16.35 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana 17.15 Opowieść o Bachu — audycja 18.00 Audycja dla wsi 18.40 Dyskutujmy 18.50 Koncert wieczorny 21.00 „W rocznicę urodzin Chopina" — koncert (transmisja do Francji, Łotwy, Niemiec, Norwegii i Szwajcarii) 21.35 W 80-tą rocznicę śmierci Krasińskiego 22.05 Koncert kameralny.

Czwartek, dnia 23 lutego 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół powszechnych „Król pieśni Schubert" 11.25 Wiedeń w pieśni — koncert z płyt 12.03 Audycja południowa 15.00 Rozmowa technika z młodzieżą 15.15 Kłopoty i rady: „Plotki, plotki" — dialog 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic 16.20 Kapitał, własność, praca — pogadanka dla liceów 16.40 Recital śpiewaczy Margeritty Couperus 17.10 Samochód pędzony drzewem — pogadanka 17.20 Recital organowy Władysława Widomskiego 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 Muzyka lekka i muzyka poważna — gawęda muzyczna 19.00 Pociąg w nieznane — koncert rozrywkowy ze Lwowa 21.00 Teatr Wyobraźni: „Zawisza Czarny" — dramat Słowackiego 22.10 Folklor różnych narodów 22.40 Wiedza i książka: Uczeni polscy o religiach Wschodu 23.05 Koncert Poznańskiego Chóru Katedralnego pod dyrekcją ks. dr. Wacława Gieburowskiego.

Piątek, dnia 24 lutego 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Zimowe nastroje — koncert z płyt 12.03 Audycja południowa 15.00 Dwie lekcje — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Poznania 16.30 Audycja z okazji święta narodowego Estonii 17.02 Jak się pisze testament — pogadanka 17.17 Miniatury fortepianowe Waltera Niemanna 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Teatr Wyobraźni: „Kogut" — dialog Lukianosa z Samosat 19.00 Koncert rozrywkowy 21.00 Chór Polskiego Radia pod dyr. St. Nawrota 21.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.30 Poezja jako siła realna — szkic literacki 22.55 Muzyka z płyt.

Sobota, dnia 25 lutego 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.00 Audycja dla dzieci: „Nasz przyjaciel" i piosenki 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.35 „Sylwetki kompozytorów polskich: R. Statkowski" 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 Polska muzyka operetkowa 21.00 Fantazja cygańska — transmisja z Budapesztu 21.25 Godzina niespodzianek 22.35 Koncert rozrywkowy.

HUMOR

ZAWSZE MÓWIŁ

— Stasiu! Twój nauczyciel pisze mi, że w żaden sposób nie może cię niczego nauczyć! Cóż ty na to?

— Ja zawsze mówiłem tatusiowi, że on jest do niczego!

TROSKLIWY MAJSTER

— Tak się o ciebie boję, — mówi żona mularza do męża, udającego się do pracy, — żebyś nie spadł z rusztowania!

— Nie bój się! — uspokaja ją mąż. — Parę dni temu pożyczyłem od majstra dziesięć złotych. Teraz on nie daje mi pracować wysoko...

NIE DŁUŻYŁO SIĘ

Byłem niedawno w Prosiątkowie. Wieczorem siedzę w jakimś szynku. Nuda, o jakiej nikt pojęcia nie ma. Z sąsiedniego pokoju dobiegały mnie głosy ożywionej dysputy, przy czym co kilka zdań słyszę słowa: „Absolut transcendentalny". Myślę sobie: jacyś inteligentni ludzie. Podchodzę, pytam się czy mogę usiąść.

— Prosimy.

— Bardzo dziękuję. Słyszałem właśnie, że panowie prowadzą rozmowę na temat absolutu transcendentalnego. Bardzo się tą sprawą interesuję, więc...

— Panie, daj pan spokój. Pan nic nie rozumie. To jest próba czy języki jeszcze działają i czy można wypić następną kolejkę. Also, panowie — —

I chór ryknął: „Absolut transcendentalny!"

Z SOWIETÓW

Ojciec z synem przechodzi przez plac Czerwony w Moskwie, gdzie znajduje się mauzoleum Lenina. Dziecko zapytuje:

— Co to jest, tato?

— To jest grobowiec Lenina.

— A kto to był Lenin?

— Jakto, przecież wiesz dobrze... Lenin to był ten, który nas wyzwolił z naszych łańcuchów.

— Jakich łańcuchów, ojcze? Nie mieliśmy żadnych łańcuchów.

— Ależ tak, przypomnij sobie... Naszych złotych łańcuszków od zegarków.

NIEZAWODNY SPOSÓB

— Mam bardzo delikatne nogi! Jak kupię nowe buty, to przez pierwsze trzy dni straszliwie cierpię...

— Mogę ci dać na to niezawodny sposób...

— Będę ci naprawdę wdzięczny! Mów!

— Kładź nowe buty dopiero na czwarty dzień.

? ? ?

— Mam zaszczyt prosić o rękę pańskiej córki.

— W jakim celu?

NASZE POCIECHY

Dzieci były w odwiedzinach u babci i bardzo wcześnie powróciły do domu.

— Na pewno byłyście niegrzeczne — rzekł ojciec po ich powrocie — i dlatego babunia odesłała was.

— Ależ, nie, tatusieczku. Byłyśmy bardzo, bardzo grzeczne. Przez cały czas zgodnie bawiłyśmy się.

— A w co bawiłyście się.

— W pogrzeb babci.

W WOJSKU

— Wyporek, co to jest strategia?

— Melduję posłusznie, panie sierżancie, strategia jest to, jak się nie ma amunicji, a strzela się dalej, żeby nieprzyjaciel nie zauważył jej braku.

JEST RÓWNOWAGA

— Dziś — mówi babcia do wnuczki — panny wychodzą o wiele później za mąż, niż za moich czasów!

— Być może — odpowiada wnuczka. — Później, ale za to o wiele częściej!

NASZE DZIECI

— Jak ja umrę, to latem będę siedział w niebie, a na zimę będę schodził do piekła.

DROBNOSTKA

— No cóż — pyta ojciec córki po jej powrocie z podróży poślubnej — jakże ci się podoba stan małżeński?

— Jedynie co mi się w nim nie podoba, to mój mąż, ale to już drobnostka.



Rozkosze gry w ping-ponga

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1.50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych, 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.